CENA ZŁ 40

Kaestner — Kowalska — Miklaszewski — Seghers — Szaniawski

NUMER PODWÓJNY

CZYTELNIK
SOPOT
ul. Czerwonej Armii
Wyższa Szkoła Hand
Morskiego Bibl

Odra tygodnik

NUMER 49—50 (211—212) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 25 GRUDNIA 1949 ROKU ROK V

Katowicki motyw zimowy Fot. Cz. Datka

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Gdańska wiosna w listopadzie

Listopad na Wybrzeżu cechuje trochę jakby niesamowita poezja. Morze budzi się ze swego pogodnego snu i „sztormami Wszystkich Świętych" przypomina o swej potędze i grozie. Mgła zasnuwa wydmy i gasi rdzawą czerwień bukowych liści. Kaszubi o zmierzchu patrzą z trwogą w stronę cmentarza i kościoła. Jeśli w oknach jego zabłyśnie światełko wierzą, że to dusze zmarłych odprawiają tam swą upiorną mszę. Można być zaprzysiężonym sceptykiem, a trudno nie poddać się tym dziwnym nastrojom listopadowych, nadmorskich zmierzchów.

Światło w Mariackim kościele

Nie dawno temu zabłąkałem się wieczorem w labiryncie zniszczonych uliczek Starego Gdańska. Nieliczni przechodnie omijali kałuże, rozrzucone po bruku jak kawałki rozbitego lustra. Kilka latarń ulicznych wyławiało i rzucało na ściany ruin ich fantastyczne cienie. Starałem się jak najkrótszą drogą dojść do Dworca, ale nagle zatrzymał mnie zdumiewający widok. U wylotu uliczki, przecinającej Piwną, wyrósł ciemny masyw Kościoła Mariackiego. Mrok zasklepił zniszczenia, jakie ostatnia wojna pozostawiła w tej, szóstej co do wielkości świątyni Europy. Kościół zdawał się nietknięty. Złudzenie to wzmacniał blask, bijący z ogromnych ostrołuków okien.

Co [illegible] w opustoszałym kościele? Zaciekawiony, podszedłem do południowej bramy Katedry. Przez szpary w starych gotyckich drzwiach zajrzałem do wnętrza. W skamieniałym lesie majestatycznych kolumn ostre, elektryczne światło wydobywało z mroku ludzi, pracujących z gorączkowym pośpiechem. Nerwowe nawoływania, stukot młotków, warkot dynamo odbijały się echem wysoko pod gałęzistym sklepieniem. Największy ruch panował dookoła smukłego filaru, podtrzymującego powałę nad prezbiterium. Robotnicy oplatali go, metr za metrem, pajęczyną drewnianego rusztowania. Obok nich stał z sygnałowym gwizdkiem w ręce inżynier rzucający od czasu do czasu niespokojne spojrzenia na filar. Poszedłem w ślad za jego wzrokiem. Filar pękał! W każdej chwili mógł runąć i zwałami sklepienia przysypać 20 ludzi, ratujących Katedrę.

Ludzie i mury

— Dacie radę? — spytałem młodego robotnika, przygotowującego betonowe elementy do zabezpieczenia walącej się kolumny.

— Czemu nie? — uśmiechnął się. — Założyliśmy „betonowy bandaż" i postoi jeszcze długo.

Dwudziestoletni Edmund Franek ze Starogardu pracuje w Kościele Mariackim od początku niemal odbudowy. Jest, podobnie jak inni robotnicy, dumny ze swojej niecodziennej roboty. I ma powód.

Kiedy byłem tu przed rokiem, robotnicy rekonstruowali gotyckie sklepienia. Na wysokości kilkudziesięciu metrów, snując się jak pająki w chwiejnej siatce wiszących rusztowań, układali „od ręki" dawnym gotyckim sposobem łuki misternych sklepień. Granica między rzemiosłem, a sztuką zacierała się tu. Mimo grożącej im śmierci, murarze byli zadowoleni i dobrej myśli. Majster Krajewski, kiedy go zapytałem, czy nie dostaje tam w górze zawrotu głowy, odpowiedział z pobłażliwym uśmiechem:

— Jak sobie łyknę, to mi się od razu zawrót odkręca. — I inni mówili o swej pracy z humorem, który wstydliwie maskował nutę sentymentu. Murarze mogli byli znaleźć bliżej swych domów bezpieczniejszą pracę. Woleli jednak zostać tutaj. „Taka robota nie trafia się co dzień" — powiedział mi wtedy jeden z nich.

Rozumiałem więc ich obecny pośpiech i niepokój. Przecież skończyli już niemal pracę. Zrekonstruowali sklepienia, szczyt przy wieży, attyki... Pokryli dachówkami cały prawie dach. I nagle taki pech! Całe ich dzieło mogło pójść na marne. Dlatego z zaciśniętymi zębami, nie zważając na grożące każdej chwili niebezpieczeństwo, dniem i nocą ratowali odwieczne mury. Z pełnym zaufaniem wypełniali polecenia inżynierów: Obmińskiego i Kossakowskiego, kierujących odbudową.

— Już tam oni znajdą sposób — mówili. — Inżynier Cebertowicz z Politechniki, ten, co to uratował Kościół św. Anny w Warszawie, ma pojechać do Szwajcarii po taki środek, co wstrzyknięty w starą, zmurszałą cegłę, zamienia ją na twardy kamień.

Pełnej zapału robocie przyglądali się z zachowanych tu i ówdzie na filarach barokowych epitafiów dawni Gdańszczanie w białych kryzach i wysokich perukach z trupimi czaszkami w ręku. W tegoroczne Zaduszki dusze ich musiały gdzie indziej odprawiać swą nocną, posępną mszę. W Kościele Mariackim rządzili żywi! Odprawiało się najradośniejsze misterium: pracy!

Z perspektywy historii

Scena ta przypominała mi się, kiedy w kilka dni później wraz z Marianem Brandysem zwiedzaliśmy odbudowujący się Gdańsk. Niebezpieczeństwo w kościele Mariackim było już zażegnane. Zarysowany filar wspierały ukośne rusztowania z wielkich bierwion. Wysoko pod sklepieniem człowiek z toporem w ręce kończył montaż „kuli", wspierającej chromą kolumnę. Towarzyszący nam konserwator gdański, prof. Borowski, wskazał ręką ogromne okno w bocznej nawie. W jego gotyckiej ramie za ocalałymi gdzieniegdzie szczątkami witraży wspaniale rysowała się sylwetka wieży ratuszowej, uwieńczona koronką strzelistych rusztowań. Na jej szczycie powiewała radośnie czerwona chorągiewka.

— Oto symbol nowego Gdańska! — powiedział profesor — tu, tak jak w Warszawie, stanie Zygmunt, ale nie Waza. Ostatni z Jagiellonów, pierwszy twórca floty polskiej na Bałtyku, zasługuje na objęcie patronatu nad naszym portem.

Prace przy odbudowie starego portowego miasta prowadzone na wielką skalę mają w sobie patos radosnego misterium. Pełny jego sens można jednak ocenić jedynie z pewnej historycznej perspektywy. Pamiętam Gdańsk sprzed września 1939 r. Gdańsk, dudniący marszami brunatnych koszul, zakrywający wstydliwie powodzią hitlerowskich flag polskie kamienne orły na starych zabytkach. Pamiętam to samo miasto z roku 1945.

Gdańsk 1945. Przechodzień przedzierający się przez zwały gruzów z trudem rozpoznawał szczątki starych zabytków.

Jedynym ocalałym kościołem był wtedy stary gotyk św. Mikołaja. We wnętrzu odczytywaliśmy ze wzruszeniem zachowane polskie słowa epitafiów. N. p. „Splendor Wielmożnego Domu w woj. Połock JP Józef z Lubna Hercyk z Ossowskiej zrodzony tu w grobowe zszedł umbry R 1733. Prosi o Zdr. M." albo: „Anna Lewińskich Lińska, cnotliwa w postępowaniu, łagodna w obejściu, szczera w przyjaźni, od wszystkich szanowana, urodzona 15 lipca 1784, zmarła w 1885." Dostojną łaciną witali nas karmazyni, jak Piotr z Wychowa Wychowski, czy syn kasztelana chełmińskiego, Jan Konopacki, który zmarł nagle w 1594 roku, kiedy wraz z ojcem przybył tu by powitać Zygmunta III.

Kobieta wśród ruin

To były szczątki dawnego Gdańska, Gdańska szlachty w karmazynowych kontuszach, Gdańska uwiecznionych w albumie Delscha polskich flisaków, przekupniów i miotlarzy, nawołujących śpiewnie w renesansowych uliczkach: „Kupczi krupi", „Kupczi beszen" (miotły) ... Zdawało się wtedy w 45 r., że ten historyczny, z Polską związany Gdańsk na zawsze „w grobowe zszedł umbry", że nic nie zdoła go wskrzesić z cmentarzyska ruin.

Jeszcze dookoła świątyni pamiętającej rzeź św. Dominika i na Targu Drzewnym kręcili się ludzie. Niemcy i Niemki handlowali czym się dało. Można tu było nabyć koszule, pamiętające czasy Chodowieckiego i spodnie z epoki Dantyszka.

Ale już o kilkanaście metrów dalej rozpoczyna się pustynia. Przechodzień przedzierający się przez zwały gruzów, chmury szarorudego, pędzonego wiatrem kurzu i fale dławiącego trupiego smrodu z trudem rozpoznawał szczątki starych zabytków. W jednej z nadmołtawskich uliczek spotkałem wtedy zabłąkaną starą Niemkę, która w Gdańsku mieszkała od kilkudziesięciu lat. I ona nie wiedziała, jak poruszać się w mieście.

Będzie o czym wnukom opowiadać ...

Współzawodnictwo z przyrodą nie jest w Gdańsku czymś niezwykłym. Robotnicy z Ratusza np. wypowiedzieli walkę wichrom. Przy huraganowych wichurach zmontowali w rekordowym czasie stalową konstrukcję hełmu na ratuszowej wieżycy. Kierownik tej roboty, młody majster ślusarski, Szczepan Lu-

(Dokończenie na str. 2)

Dziś w bramie starej katowni przy Targu Węglowym pracują kamieniarze ... Fot. Ag. Il. API

Waszyngtońska fontanna

B. ROZANOW

W Waszyngtonie, w pobliżu Białego Domu, wytrysła niedawno o wielkiej sile „fontanna". Daremnie szukalibyśmy jednak bodaj wzmianki o niej w najnowszych przewodnikach po stolicy USA, w których tak barwnie i szczegółowo opisano bulwary i muzea, galerie obrazów, Kapitol i Pentagon z ich klasycznymi kopułami i surowymi liniami kolumn. Mowa bowiem o potężnej „fontannie", buchającej olbrzymim strumieniem... błota. Błotem tym obficie zostały obecnie obryzgane fizjonomie ministrów i kongresmenów, generałów i dyplomatów.

O jakiejże to fontannie mowa? W danym wypadku mamy na uwadze wielki skandal, który zaszedł niedawno w okolicach Białego Domu: oto została zdemaskowana grupa oszustów i notorycznych łapowników.

W. I. Lenin pisał w swoim czasie, że na każdym dolarze, którego tak czy inaczej dotyka ręka monopolistów albo ich agentur, leży gruda błota... Niedawne wydarzenia potwierdziły całą słuszność tych słów.

Powszechny system przekupstwa, „łapówka jako wytrych" od dawna i na długo przeniknęły w ciało całej „demokracji dolara". W świecie „wielkiego business'u" każdy człowiek interesu oceniany jest z punktu widzenia tego, ile „może dać". Przekupstwo działa i wtedy, kiedy chodzi o zawarcie poważnej tranzakcji, i wtedy, kiedy chodzi o wybór senatora. W życiu politycznym USA przyjął się, bardzo często używany termin „prawne łapówki", na co oburzał się pisarz Lincoln Steffens w swojej książce, zatytułowanej niedwuznacznie „Hańba miast".

Z epickim spokojem kronikarza, przyzwyczajonego za stosunkowo skromnym wynagrodzeniem niczemu się nie dziwić, czasopismo „Łuk" konstatuje, że „w obecnym czasie stanowisko gubernatora jest poważnym handlowym przedsięwzięciem. Senacka komisja stanu Illinois ustaliła, że za rządów gubernatora Dwight Green'a stan opłacał wiele usług drożej niż należało. Dokądże szły te dodatkowe pieniądze? Na łapówki".

Krótko i węzłowato.

W ten sposób istotnie trudno „odkryć" Amerykę twierdząc, że w Ameryce system korupcji kwitnie od dawna. Tym nie mniej „fontanna", która wytrysła w Waszyngtonie, wydaje się nawet z punktu widzenia ludzi doświadczonych wydarzeniem nie zupełnie zwykłym. Głównym „bohaterem" skandalu jest wojskowy adjutant Trumana i, według zapewnień prasy, jego osobisty przyjaciel, jeden ze stałych mieszkańców Białego Domu, — generał-major Harry Wogan. Łatwo się domyśleć, że minister Wogan należy do liczby takich „generałów", którzy, jak to się mówi, w takich wypadkach „umierają na własnej pościeli". Nie ma w tym nic dziwnego, że „wsławił się" on nie tyle wielką ilością wygrywanych bitew, ile licznymi łapówkami.

Diapazon „działalności" generała Wogana jest zaiste ogromny. Dzięki swemu stanowisku i osobistym stosunkom doprowadzał on wzamian za solidne wynagrodzenie do zawarcia umów bardzo dogodnych dla swoich przyjaciół — przemysłowców.

Podsumowując ten swego rodzaju rezultat „bojowej" działalności Wogana i jego „towarzyszy broni", państwowy inspektor Yorrent w raporcie, złożonym Kongresowi, zakomunikował, że jego rewidenci ujawnili dowody „oszu-

stwa, zmowy i łapownictwa" przy zawieraniu umów na dostawy wojskowe. Podał do wiadomości Kongresu również fakt, że przemysłowcy, z którymi były zawierane kontrakty, dzięki generalskim machinacjom, „potrafili oszukać skarb państwa na miliony dolarów".

Jest rzeczą oczywistą, że i „wielka polityka" nie była obca generałowi Woganowi i jego wspólnikom. Okazało się, naprzykład, że aferzysta i awanturnik Maragan, dzięki usilnym staraniom Wogana, został mianowany członkiem komisji, która ustalała kurs „polityki zagranicznej USA w Grecji", inaczej mówiąc ustalała plan kolonizacji i ujarzmiania tego kraju przez Wall-Street. Prasa amerykańska zapewnia, że Wogan miał niemały wpływ na obsadzanie stanowisk rządowych.

„Przyjęty w Waszyngtonie system administracji przy pomocy przyjaciół, wywołuje stale wzrastający niepokój wśród licznych obserwatorów, — pisał dziennik „Łuk". Jednym z objawów tego stanu rzeczy jest fakt wzrastania wpływów w Białym Domu takich przyjaciół prezydenta, jak generał-major Harry Wogan, któremu przypisuje się ważną rolę w sprawie mianowania na odpowiedzialne stanowisko ministra obrony narodowej Louis Johnsona".

Przypominamy, że Louis Johnson do chwili objęcia tego stanowiska stał na czele jednej z większych w Stanach Zjednoczonych lotniczych kompanii „Consolidated vultee" i był równocześnie skarbnikiem funduszu wyborczego partii demokratycznej. Nie trudno sobie wyobrazić spokojny idylliczny obrazek: jedną ręką, jako prezes kompanii, bierze pieniądze z kasy „Consolidated vultee, a drugą, jako skarbnik partii demokratycznej, wydaje te pieniądze na prowadzenie kampanii wyborczej na rzecz mister Trumana.

I oto mister Johnson wchodzi do Pentagonu na prawach gospodarza. W miesiąc po objęciu teki ministra obrony zrywa umowy, zawarte z czterema przedsiębiorstwami lotniczymi na skromną kwotę 750 milionów dolarów i dostawy te oddaje piątemu przedsiębiorstwu. Nie trzeba być specjalnie domyślnym, żeby zgadnąć komu zostały one powierzone ...Oczywiście temu samemu przedsiębiorstwu „Consolidated vultee", którego sam był prezesem.

Zdemaskowanie tego faktu, że w kancelarii prezydenta USA zasiada osobisty adjutant-łapownik i oszust, a minister obrony rozporządza się w Pentagonie, jak we własnym domu, wywołało niemały popłoch w kołach rządowych. W gorączkowych usiłowaniach „zatkania" waszyngtońskiej „fontanny" wzięły udział bardzo wpływowe osobistości. „Oddziały ratownicze" pospieszyły na miejsce „wypadku". Ministerstwo sprawiedliwości, jak informuje dziennik „New-York Herald Tribune" zamknęło dostęp do wszystkich dokumentów, związanych z działalnością Wogana. Odnośna komi-

(Dokończenie na str. 6)

W NUMERZE ZNAJDZIECIE:

Literaturę piękną a więc

Annę Seghers
Annę Kowalską
J. Szaniawskiego
Ericha Kaestnera
Jana Koprowskiego
Jerzego Marka
Tadeusza Urgacza

Omówienia książek

Balzaka
Nerudy
Orzeszkowej
Seghers

Imperializm

widziany oczyma satyryka w portrecie Ericha Kaestnera pióra Leszka Golińskiego.

Sprawozdania

z teatrów wrocławskich i olsztyńskich oraz wiadomość o nowym demokratycznym filmie niemieckim.

Rzecz

o szachownicy politycznej reakcyjnego rządu w Waszyngtonie, po której przesuwają się figury oszustów i łapowników, oraz wznowioną rubrykę „Co robią Niemcy", która jest listem gończym za rewizjonistami zachodnio-niemieckimi.

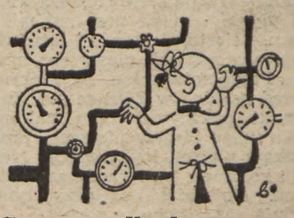

Sprawy odbudowy

w reportażu Franciszka Fenikowskiego o listopadowej wiośnie w Gdańsku.

Instytut Śląski, zanim przeniesiony został jako oddział Instytutu Zachodniego do Wrocławia, działalność swoją w Katowicach zakończył wydaniem pomnikowej pracy Tadeusza Dobrowolskiego „Sztuka na Śląsku“, str. 392, ilustr. 173. Oto jedna z licznych omówionych w książce rzeźb śląskich, fragment ołtarza, przedstawiający Boże Narodzenie, rzeźba w drzewie. Fragment pochodzi z kościoła św. Stanisława, zbudowanego prawdopodobnie z końcem XVI wieku. Z tego samego okresu pochodzi reprodukowana rzeźba.

TADEUSZ URGACZ

Anioł nie anioł

Miasta wy moje
miasta uparte,
z butli kominów lejące proch,
w każdym z was bije serce kopalni
i wiatr grymasi idąc przez noc.

Zimy brodate,
grube śnieżyce
i wiosny, które mrugają ciepłem,
na muskularnej twarzy kopalni
siedzą sczerniałe, piękne jak węgiel.

Sprawa to waszej młodej urody
spacerującej w dymie i wichrze.
Szczere są trąbki śmiechu, o miasta,
grające tutaj w zimie i w lecie.

Idziesz ulicą,
słyszysz muzykę
i myślisz;
każdy górnik to Szopen.
Nasze kilofy szopenizują
i płyną morzem potu jak okręt.

Co dzień wchodzimy gromem w kopalnie,
każdy zaciekle goni „Mortimer“
Nas dynamitem próżno nie gościł
socjalizm, pierwszy górnik — inżynier.

Gdzieś delikatna gęba mamrocze:
i anioł święty z sił by tu opadł.
Tak, gębo, ale
anioł węglowy
z krwi jest zrobiony i chodzi w spodniach.

Anioł nie anioł,
miast obywatel,
miast, które znajdziesz w centralnym punkcie
mapy, na której buchają rzeki
gorącej pracy.
W miastach tych żyją
może anioły? —
napewno l u d z i e.

Kraj przyszłości

Myślicie ciągle o kraju
nie śpiąc, nie jedząc — myślicie.
Armie wiosennych dziewcząt
żyją w tym kraju na pewno.

Ten kraj jest na pewno zielony
jak serca małych buków.
Tam daje koncerty echo
i księżyc w mysim kożuchu.

tam ludzie są tak dobrzy,
że w pełni wystarcza światu
kodeks karny księżyca,
kodeks cywilny wiatru.

tam dym i węgiel nie żyją,
wiatr zato jest dla przełyku
w kraju ciepłego uśmiechu,
radości i komunizmu,

Kraj z tunelami zieleni
zapięty na marzeń klapę,
nie istniejący na mapie,
będzie wpisany na mapę.

Warto pół nocy być w drodze
żeby zobaczyć go rano.
Rozumiał to dobrze Pstrowski,
rozumiał to dobrze Stachanow.

WŚRÓD KLASYKÓW PROZY CZESKIEJ

Szkice i obrazki Jana Nerudy

Dla omówienia „Opowiadań ze starej Pragi“ Jana Nerudy*) tytuł powyższy użyty został celowo. Chodziło bowiem o zaznaczenie podobieństw, które zachodzą między „Szkicami i obrazkami“ Bolesława Prusa a prozą Nerudy zebraną w tej najpopularniejszej z jego książek. Czytelnikowi polskiemu, który najcelniejsze ze „Szkiców i obrazków“ Prusa zna od lat najmłodszych, który zawdzięcza im niejedno wzruszenie i niejedną pogodną chwilę, ceni ich prostotę i urok, porównanie takie mówi wiele. Typ realizmu obydwu pisarzy jest pokrewny, obydwaj są świetnymi nowelistami i felietonistami, zbliża ich rodzaj humoru i wrażliwości pisarskiej.

Ale Neruda to w przeciwstawieniu do Prusa przede wszystkim poeta, którego znaczenie wywodzi się głównie z bogatej twórczości poetyckiej. Obrazki i nowele Nerudy powstały jakby na marginesie tej twórczości. To, że należą do klasycznych dzieł prozy czeskiej, że „Povidky malostranské“ zawierają kilka arcydzieł czeskiej nowelistyki, zawdzięczać należy przede wszystkim faktowi, że autor pozostał w nich wierny temu, co wyznawał jako poeta, że pozostał wierny swej ideologii społecznej i artystycznej, a umiał przytem uchwycić i odtworzyć urok wspomnień, które odeszły, umiał spojrzeć na świat swej młodości z pozycji dojrzałego i mądrego człowieka i uczynić to w sposób znamionujący dojrzałego artystę, dysponującego w sposób niezawodny humorem, satyrą i niefałszowanym sentymentem.

Jan Neruda (1834—1891) jest najwybitniejszym poetą grupy, która zadebiutowawszy w roku 1858 wspólnym almanachem „Maj“ odegrała w literaturze czeskiej najważniejszą rolę w latach 1860—1810 przez zdecydowane przeciwstawienie się tradycjom literatury z pierwszej fazy odrodzenia narodowego i przez jasne określenie własnego programu artystycznego, wyrosłego na gruncie nowych idei politycznych i społecznych. Neruda, dziecko praskiego proletariatu, jest w tej grupie indywidualnością najwyraźniej zarysowaną ideowo. Wniósł też największy udział w ukształtowanie się ideologii artystycznej i społecznej zespołu „majowców“, którego dalszymi czołowymi przedstawicielami byli w poezji Vitiezslav Halek i Adolf Hayduk a w prozie Karolina Svietla. „Majowcy“ reprezentują w literaturze czeskiej pierwszą fazę realizmu **i pierwsze wyraźne** dążenia do nadania literaturze a poezji w szczególności charakteru społecznego. Stają przede wszystkim w opozycji do literatury, zamykającej się w kręgu narodowej tematyki historycznej a jako cel stawiają sobie literaturę związaną ze współczesnością, literaturę odtwarzającą tę współczesność i ujmującą jej problematykę ze szczególnym naciskiem na zagadnienia społeczne. Pod tym względem są majowcy wiernym dzieckiem swej epoki i wiernym odbiciem światopoglądowym i artystycznym „Młodych Niemiec“. Przez to jednak pogłębiają i poszerzają nurt główny literatury czeskiej i sprawiają, że w opanowanym przez nich dziesięcioleciu swoich dziejów literatura ta zbliża się poważnie do Europy. Tendencyjny realizm majowców stanowi więc początek wielkich i ważnych przemian w literaturze czeskiej, przemian decydujących dla pełni jej rozwoju i procesu dojrzewania.

Dla scharakteryzowania programu artystycznego samego Nerudy najlepiej zresztą sięgnąć do jego osobistej wypowiedzi. Tych wypowiedzi mnóstwo znajdziemy w jego niezwykle bogatej spuściźnie krytyczno-literackiej, felietonowej i dziennikarskiej w ogóle, ale najbardziej zwięzłą odczytujemy właśnie z omawianej książki. W pierwszym i najobszerniejszym opowiadaniu tego zbioru, zatytułowanym „Tydzień w cichym domu“ występuje na dalszym planie Wacław Bavor, wcale wierny portret autora z okresu, kiedy stawiał pierwsze samodzielne kroki w życiu i próbował zostać urzędnikiem. Bavor pisze wiersze, pragnie się poświęcić literaturze a w jednej z rozmów takie wygłasza credo: „Nie będę się zajmować wypełnianiem literackich luk, nie będę pracować według szablonu. Stanowisko europejskiej literatury będzie moim stanowiskiem. Będę pisać zupełnie nowocześnie, a więc prawdziwie, będę brać bohaterów z życia, opisywać to życie w jego nagości, bez osłonek, będę szczerze mówić to, co myślę i czuję“.

Wyznanie takie zapowiadałoby wielkiego prozaika, ale było wyznaniem przede wszystkiem poety. Proza Nerudy poza przeszło dwoma tysiącami felietonów ogranicza się do kilku tomów szkiców, obrazków i nowel, z których same tylko „Povidky malostranské“ osiągnęły rangę mistrzowską.

Wszystkie niemal nowele tego tomu powstały na progu trzeciego dziesięciolecia twórczości Nerudy, w latach 1875—1877. Z chronologii tej wyłamuje się tylko pierwsze i najobszerniejsze opowiadanie „Tydzień w cichym domu“, które pochodzi z roku 1867. W książce posiada ono jednak swój kompozycyjny odpowiednik w niemal równie obszernym i w tym samym rodzaju utrzymanym opowiadaniu końcowym pt. „Figurki“. W te szerokie ramy włożył autor jedenaście nowel znacznie krótszych, w stylu obrazków i szkiców o różnym nastroju i kolorycie. O jednolitości całego tomu decyduje głównie opisywane przez Nerudę środowisko. Otrzymujemy tu urozmaicony obraz życia jednej z dzielnic starej Pragi, Małej Strany, a w szczególności obraz życia jednej jej warstwy — drobnomieszczaństwa. Drugim elementem ujednolicającym książkę jest podkład autobiograficzny wszystkich nowel ujawniający się zresztą w sposób rozmaity. Autor występuje tu czasem jako jedna z osób działających ukryty pod jakimś innym nazwiskiem, czasem jako narrator snujący wspomnienie, w którym osoba jego nie gra niemal żadnej roli prócz roli obserwatora i dyskretnego komentatora opisywanych ludzi i zdarzeń, czasem znów jako rzekomo obcy pamiętnikarz lub wreszcie jako pamiętnikarz relacjonujący własne przeżycia i przygody. Autobiografizm reguluje tu stosunek do przedstawianych ludzi i faktów, podkłada pod wszystko barwę wspomnieniowego sentymentu, nadaje temperaturę humorowi i łagodzi ostrze satyry, która jednak w odkrywaniu psychicznej nędzy poszczególnych „figurek“ drobnomieszczańskich jest dosyć bezwzględna. Satyrze tej daleko jest do demaskatorskiej pasji, ma ona raczej posmak łobuzerskiego odsłaniania kulis, przy pomocy których obywatele Małej Strany usiłują zakryć moralną i materialną nędzę swego bytowania. Tych niedyskrecji Neruda dopuszcza się w sposób znamionujący urodzonego humorystę, który nie tylko zabawia drugich, ale i sam bawi się przy tym znakomicie. Ten typ satyry nie rewolucjonizuje świata, najwyżej oczyszcza atmosferę.

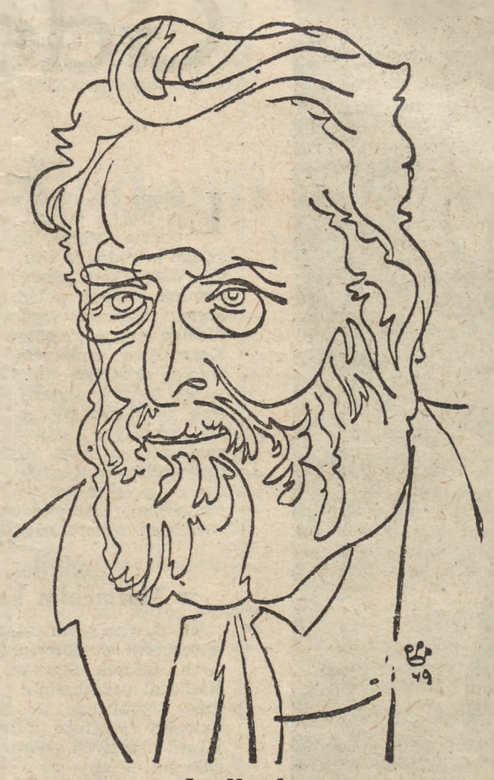

Jan Neruda

Humor Nerudy nie postarzał się przez te siedemdziesiąt przeszło lat, które dzielą nas od powstania jego nowel. Pokrył się staroświecką patyną, która jeszcze przydaje uroku jego prostocie. Humor ten stanowi istotny element artystyczny w takich opowiadaniach jak „Tydzień w cichym domu“ i „Figurki“, czy we wspomnieniowych relacjach z lat dzieciństwa i młodości „Wieczorne pogwarki“ i „Jak się to stało, że Austria nie została rozbita“. Humor właśnie ożywia te utwory i doskonale równoważy pamiętnikarską statyczność ich konstrukcji, opartej na dość nikłej akcji Druga ważna cecha „Opowiadań“ Nerudy to umiłowanie małych ludzi, serdeczne współczucie dla ich cichych tragedii i nieporozumień z życiem, sentyment dla spraw małych i pozornie nieważnych, dostrzeganie wewnętrznego mechanizmu konfliktów jednostki prostej i nie skomplikowanej z otaczającym ją światkiem mieszczańskim. Ten dochodzi przede wszystkim do głosu w takich opowiastkach jak historie małostrańskiego żebraka Wojtiszka („Zrujnowała żebraka“), lekarza-dziwaka („Doktor Patałach“), emeryta-kolekcjonera („Wodnik“), czy kończącego samobójstwem kupca-nowicjusza, którego sklep nie zyskał sobie sympatii małych klientów dzielnicy („Jak pan Worel przepalił sobie fajkę“). Wszystkie te obrazki pełne są plastyki zarówno w kreśleniu sylwetek głównych postaci jak i w ukazywaniu środowiska małostrańskiego coraz to z innej strony i innej perspektywy.

Osobne miejsce w książce zajmuje mistrzowski w swej zwięzłości i kolorycie obrazek z gospody „Pod Trzema liliami“ oraz świetna psychologicznie „Msza św. Wacława“.

Przez przekład „Opowiadań“ Jana Nerudy otrzymał czytelnik polski jedną z najlepszych książek dawnej nowelistyki czeskiej, dzieło klasycznej, nie starzejącej się prozy. Tłumaczka, Maria Erhardtowa, nie miała tu łatwego zadania, ale sprostała mu niemal bez zarzutu. Całemu przekładowi przydałoby się może więcej stylizacji, a ze szczegółów najwięcej zwraca uwagę nadużywanie czasu przyszłego tworzonego z bezokolicznikiem, czego przykładem jest przytoczony powyżej cytat z wypowiedzi Wacława Bavora.

Zdzisław Hierowski

*) **Jan Neruda: Opowiadania ze starej Pragi**, Warszawa 1949. Państwowy Instytut Wydawniczy, przekład Marii Erhardtowej (okładkę projektował Stefan Styczyński str. 310 + nlb. (tytuł oryginału „Povidky malostranske“).

GORKI W CAŁEJ POLSCE

a więc i w Olsztynie

Ambitny teatr olsztyński wystawił sztukę, na którą nie miał odwagi porwać się dotychczas żaden z teatrów w Polsce. Oglądaliśmy na scenach naszych wszystkie niemal sztuki Gorkiego, — „Wassa Żeleznowa“ dopiero teraz ukazała się w Olsztynie jako prapremiera. Zadanie to przedstawiało widać dla teatru szczególne trudności i sprawą naszą jest rozważyć, czy i do jakiego stopnia zostały one przezwyciężone.

Do odmalowania spraw, które dzieją się w piekle — nie przystępuje się w rękawiczkach. Surowy i brutalny wydaje się nam nieraz realizm Gorkiego — jest to jednak jak wypalanie gnojącej się rany rozpalonym żelazem. Celem pisarza było wpojenie w widza, czy w czytelnika przekonania, że istniejący wówczas stan rzeczy jest do absurdu potworny — i że przyjść musiała nowa epoka i nowi ludzie, którzy to zło zmiotą z powierzchni ziemi.

Mimo takiego nastawienia — Gorki nie jest pisarzem tendencyjnym. Nie nagina nigdy rzeczywistości do swojej tezy, nie przerysowuje charakterów, barwiąc je na czarno, czy biało. Dążąc do prawdy, walczy tylko prawdą — i choćby ta prawda była jak najbardziej groźna, doszukuje się na jej dnie zarodków dobra, nadziei przyszłej przemiany. Ten oskarżyciel nie potępia, nie rozdziera szat, nie wzywa gromów — ukazuje tylko głęboki tragizm upadku, który sam w sobie zawiera elementy winy i kary. Bo ci ludzie — bohaterzy jego sztuk czy powieści — w strasznej, stworzonej przez siebie rzeczywistości, męczą się jak potępieńcy i nie potrafią wyjść z przeklętego kręgu, który sami naokoło siebie zakreślili, póki ich nie wyzwoli śmierć — i póki ich nie zmiecie z powierzchni ziemi — historia.

Taką postacią jest „Wassa Żeleznowa“. Pisarz, który w otchłani nawet „szuka człowieka“, dał tej zbrodniarce, tej twardej i bezwzględnej posiadaczce — cechy głęboko ludzkie. I właśnie ten tragizm osamotnienia we własnym środowisku, ta bezsilność w walce z „nowem“, które przychodzi i grozi jej zagładą — odzwierciadla lepiej pustkę i próżnię tego bytowania, niżby to uczyniła dramatyczna dydaktyka.

Sztuka — której nie zdążył Gorki nadać ostatecznego kształtu, nie jest jednolita (to właśnie stanowi poważną trudność dla teatru). Czyni wrażenie, jakby w pisarzu walczyły dwie odmienne koncepcje, które nie zostały konstrukcyjnie połączone w sztuce.

Akt pierwszy — historia zbrodni — to jakby odrębna całość. Ten ważny motyw w dalszym rozwoju akcji nie jest brany w rachubę. Rozpoczyna się inny wątek — walka s t a r e g o z n o w e m. Walka bezwzględnego, drapieżnego instynktu posiadania, — z myślą rewolucyjną. Walkę tę, w której zwycięstwo zdaje się chylić na stronę posiadaczki — rozstrzyga śmierć. I nie jest to deus ex machina — ta śmierć wydaje się tu nieunikniona i konieczna, bo Wassa Żeleznowa nie ma już nic więcej do roboty na świecie, bo rola Wassy Żeleznowej jest na zawsze skończona.

Niejednolitość i fragmentaryczność sztuki — przerywanie wątku dramatycznego wkładkami epizodycznymi o fakturze raczej powieściowej — nadaje może sztuce odrębny, ciekawy ton, utrudnia jednak zadanie teatru. Trudną pracę nad sztuką teatr olsztyński podjął jednak z całą odwagą. Odwagi trzeba było nie na to, aby udźwignąć ciężar potężnej roli Wassy Żeleznowej, lecz na to, by plastycznie przedstawić dzisiejszemu widzowi egzotyczne już dziś kapitalistyczno-mieszczańskie środowisko carskiej rosji ze wszystkimi jego brudami, z całą jego specyficznie zatęchłą atmosferą. Z prawdziwym uznaniem trzeba podkreślić rzetelny wysiłek teatru, aby dziełu wielkiego pisarza nadać właściwy wyraz dramatyczny. Żaden szczegół w tej sztuce nie został przez teatr zlekceważony, ani pominięty. Wydawało się, że nie ma ról tzw. „epizodycznych“ (choć jest ich dużo), bo z każdej roli aktor i reżyser wydobyli maksimum ekspresji.

Rolę tytułową ująć można było dwojako — albo uwydatnić żelazną siłę despotycznej, miażdżącej wszelkie przeszkody osobowości, albo przedstawić tragizm zabłąkanej w błędach i zbrodniach i osamotnionej kobiety. Pani Halina Starska wybrała koncepcję drugą, może bliższą tak bardzo ludzkiej nawet w oskarżeniach postawie pisarza. Tak ujęta rola, przejmująca w ekspresji, miała akcenty głębokiej prawdy i szczerości.

I nic nie szkodzi, że w scenach dramatycznych starć uciekała się do pewnego patosu. Tak właśnie, a nie inaczej musiała przeżywać i wyrażać swoją tragedię Wassa Żeleznowa, przedstawicielka ginącego świata. Tym silniejszym i wyrazistszym kontrastem było ujęcie roli młodej rewolucjonistki, doskonale zagranej przez p. Ursynównę. Oddała ona istotnie n o w y t o n, była naprawdę przedstawicielką nowego, młodego życia wkraczającego w zatęchłe środowisko. Spokój sylwetki, gestu, maski, uśmiech maskujący wewnętrzne napięcie, rzeczowy ton najbardziej ważkich kwestii — w scenie walki o dziecko — przekonał nas nie tylko o tym, że Raszel w walce z Wassą zwyciężyć musi, lecz i o tym, że na scenę olsztyńską wkroczył nowy, prawdziwy talent.

Niezwykle staranne potraktowanie ról epizodycznych utrudnia recenzentowi zadanie. Trzeba by przepisać cały afisz, dodając do każdego nazwiska ciepłe słówko. Naprawdę ogólny poziom gry był bardzo dobry, wykraczający znacznie ponad to, czym nas raczą zwykle teatry prowincjonalne. Teatr olsztyński w ten sposób, wykonując tę sztukę, złożył prawdziwy hołd pamięci wielkiego pisarza.

Janina Morawska.

„Wassa Żeleznowa“ Gorkiego w Państwowym Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Na zdjęciu Halina Starska (Wassa) i Henryk Barwiński (Żeleznow). Scena z aktu I. Fot. Stan. Nowacki

HUMANITARYZM ORZESZKOWEJ

Nakładem wydawnictwa *„Książka i Wiedza“* ukazały się dwa tomy nowel *Elizy Orzeszkowej* p. t. *„Melancholicy“*. Po raz pierwszy nowele te wyszły w wydaniu Gebethnera i Wolfa w r. 1896. Wydanie, które ukazało się teraz, stanowi fragment wydawanych przez „Książkę i Wiedzę“ pism zbiorowych El. Orzeszkowej pod redakcją prof. Juliana Krzyżanowskiego. Tom I-szy „Melancholików“ zawiera piękną przedmowę do Jana Karłowicza, współautora wielkiego Słownika Języka Polskiego i serdecznego przyjaciela Orzeszkowej; ponadto w tomie tym mamy 5 nowel. Tom II-gi zawiera 3 nowele.

Przystępując do pobieżnego omówienia „Melancholików“ nie można mimo wszystko pominąć przedmowy. Jest to bowiem do pewnego stopnia credo filozoficzne Orzeszkowej, wyraz jej światopoglądu i stosunku do życia. Co w życiu przeważa: dobro czy zło? Jaka jest w życiu ludzkim rola nauki i sztuki? Czy uzasadniony jest pesymizm, czy raczej słuszność mają optymiści? — oto pytania, na które stara się odpowiedzieć Orzeszkowa w tej pięknej przedmowie, mającej formę szczerej, bezpośredniej rozmowy ze swym przyjacielem. Przedmowę tę znamionuje przenikliwe spojrzenie mędrca w chaos zjawisk życiowych, stanowiących w sumie życie ludzkie. Umiłowanie człowieka, głęboka zaduma nad znikomością i nietrwałością wszystkiego, co ludzkie, cześć i uwielbienie dla cichej ofiarnej pracy, wiara w ostateczne zwycięstwo Ormuzda, w zwycięstwo dobra nad złem — promieniują z tej pięknej przedmowy.

W tomie I-ym „Melancholików“ zwracają na siebie uwagę przede wszystkim dwie nowele, a mianowicie: *„Światło wśród ruin“* i *„Ogniwa“*. Wyrazem głębokiej prawdy jest owo „Światło wśród ruin“, czyli inaczej mówiąc, *obudzenie się serca w zajętej dotychczas wyłącznie swoimi osobistymi przeżyciami Sewerynie*. Nuda, pustka życiowa, gorycz rozczarowania i niechęć do życia — wszystko to, co odebrało życiu Seweryny całą wartość i cały urok, znika naraz z chwilą, gdy w sercu jej rozpala się, słaby początkowo, płomyk zainteresowania się cudzym życiem — życiem obojętnego jej dotychczas starca, przyjaciela zmarłego jej ojca. Odwiedziny tego starca ciążyły dotychczas Sewerynie. Była względem niego oschła, niechętnie usposobiona, daleka od tego, by zainteresować się jego życiem. Nagle jakoś inaczej spojrzała na tego człowieka. We wzroku jej, skierowanym ku niemu, zamigotały po raz pierwszy błyski ciepłego, serdecznego zainteresowania. Jakby w nagłym olśnieniu ujrzała całą niedolę jego życia i uświadomiła sobie, że nie kto inny, ale właśnie ona może i powinna odmienić na lepsze to ciężkie i samotne życie starca. I oto wieczór, który z powodu jego wizyty zapowiadał się dla Seweryny jako jeden z pustych i nudnych wieczorów — pod wpływem zmiany, jaka się w niej dokonała, staje się dla niej miłym przeżyciem. Starowina wcale nie jest nudny, jeśli się na niego spojrzy mądrymi, prześwietlonymi dobrocią, oczyma, lecz, przeciwnie, jest ciekawy, interesujący. Nie widział on pomnika na grobie swego przyjaciela, ojca Seweryny, ale zaciekawia go, czy na tym pomniku znajduje się napis, świadczący o dobroci zmarłego. A kiedy Seweryna odpowiada, iż ojciec jej był uczonym, starowina oświadcza, *„iż więcej jest na świecie uczonych, niż dobrych“*. Głęboka trafność tej prawdy olśniewa Sewerynę. Prawda ta będzie dla niej niezawodnie „światłem“ w mrokach dotychczasowego jej życia.

Znamienną dla humanitaryzmu Orzeszkowej jest nowela *„Ogniwa“*. Trzeba pamiętać, że Orzeszkowa znajdowała się w pierwszym szeregu postępowych pisarzy swojego czasu. Walczyła w swoich pismach o sprawiedliwość społeczną, o prawo do życia, prawo do oświaty warstw najniższych, najbardziej przez ówczesny ustrój społeczny pokrzywdzonych. Szanowała i kochała człowieka bez względu na jego stanowisko społeczne czy majątkowe, bez względu na jego narodowość czy religię. Uświadamiała sobie ponadto tę prawdę, iż, nie bacząc na istniejące pomiędzy ludźmi różnice, jest coś, co ich wszystkich łączy, coś, co spaja ich jakby niewidzialnymi „ogniwami“.

Te „ogniwa“ — to poczucie wspólnoty ich losu. Takie niewidzialne, a jednak dość mocne „ogniwa“ łączą nawet tak na pozór obcych sobie ludzi jak stary hrabia Strumieniecki i równie stary Żyd, zegarmistrz Berek. Prawda, że pochodzą oni z jednej wsi, ale niewiele ich łączyło wtedy, gdy w latach swej młodości, przedzieleni murem przesądów społecznych i wyznaniowych z rzadka tylko przyglądali się sobie. Dzisiaj, po latach, wiele zniknęło z tego, co ich wówczas dzieliło. Zostały natomiast we wspomnieniach obu urzekające obrazy sielskiego życia, a dziś obu ich nurtuje świadomość, zaprawiona melancholią, iż życie ich przeszło, że oto obaj zbliżają się do nieuniknionego kresu. Berek jest zegarmistrzem i ma pasję do starych zegarów. Dziwnym zbiegiem okoliczności stary hrabia Strumieniecki ma też pasję do zegarów i antyków w ogóle. I kiedy pochyleni nad zegarem zatopieni są we wspólnej pasji, znikają i zacierają się wówczas pomiędzy nimi wszelkie różnice. Są sobie bliscy, mimo wszystko, co ich dzieli. Cóż więc dziwnego, że Berek ujrzawszy sunący ulicą kondukt pogrzebowy i dowiedziawszy się, że to pogrzeb hrabiego Strumienieckiego — wybiega jak nieprzytomny ze swojego sklepu i nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje, idzie za konduktem aż na sam cmentarz. Nie wie, jak się tu znalazł, ale *„czuje, że pomiędzy nim a trumną spuszczaną do ziemi kowal niewidzialny kuł ogniwa niespodziane“*.

W tomie II-im „Melancholików“ na szczególną uwagę zasługuje nowela *„Bracia“*. Mamy tu przed sobą znowu jeden z tych zawsze aktualnych nawskroś *ludzkich* problemów. „Bracia“ reprezentują dwie różne postawy wobec życia. Starszy z Horniczów, Wiktor, zapewnił sobie życie wygodne i przyjemne. Należy on, bez wątpienia, do ludzi, o których się mówi, że posiadają „sztukę życia“, jest jakbyśmy dziś powiedzieli, typowym przedstawicielem mieszczańskich, burżuazyjnych ideałów życiowych. Orientuje się on doskonale w chaosie sprzecznych interesów życiowych, wie, co jest osiągalne i co nieosiągalne, a nade wszystko umie wyciągnąć z życia wszystko, co jest w nim stosownie do jego osobistego gustu, najlepsze i najpiękniejsze. Cieszy się przy tym opinią tak zwanego „człowieka porządnego“ i chce za takiego uchodzić. Młodszy brat, Zenon, należy do natur o niezwykle rozwiniętym zmyśle moralnym. Życie dla Zenona — to przede wszystkim pełnienie obowiązku moralnego, to sprawa zupełnej harmonii ze swoim sumieniem. Tym wysokim nakazom moralnym podporządkuje on całkowicie swe życie osobiste i, mimo iż ugina się nieraz pod ciężarem, jaki wziął na swe barki, nie jest bynajmniej skłonny do kompromisu. Chwilami ma wątpliwości, czy słuszność jest po jego stronie, czy też po stronie brata. *„Który z nas jest głupi, a który mądry: on czy ja“* — zapytuje wówczas siebie. Zacytujmy tutaj słowa Orzeszkowej, wyjęte z listu do Franciszka Rawity - Gawrońskiego: *„W tej noweli „Bracia“ jest właśnie postać, która wyrzekła się dla idei prawie wszystkiego, cierpi dużo, ciemno myśli i widzi, jednak upiera się przy swoim i innego życia nie chce, bo byłoby gorszym, choć szczęśliwszym. Tacy ludzie stanowią kategorię osobną, żyjących nie dla siebie, cierpiących nie za siebie. Myślę zawsze, że los ludzkości byłby stokroć jeszcze smutniejszym, niż jest, gdyby ich nie było“*.

STEFAN WASILEWSKI.

Gdańska wiosna w listopadzie

(Dokończenie ze str. 1)

biński, zapytany, czy jego współpracownicy nie bali się pracować w tak niebezpiecznych warunkach, odpowiada:

— Gdzie tam! Każdy rwał się do tej roboty! Niektórzy to po dwa razy do lekarza chodzili, żeby pozwolił im pracować na tej wysokości! Bo toteż nie byle co — śmieje się. — Wnukom będzie się opowiadać o tym, jak marynarz Klażyński zawieszony w koszu między niebem, a ziemią zakładał żelazne kotwy, żeby wzmocnić mury wieży. Albo jak pod samym szczytem odnaleźliśmy na grymsie polskie kamienne orły... Albo też jak tańczyły rusztowania i wiatr chciał nas pozrzucać...

Mapa, która ożyła . . .

Stoimy właśnie wysoko na ratuszowej wieży. Nad nami płyną jesienne, skłębione obłoki. Kiedy spojrzeć w górę, zdaje się, że to chmury trwają nieruchomo, a wieża płynie i niesie nas nad miastem. Miasto, leżące u naszych stóp wygląda jak plastyczna mapa. Przypomina plan, na którym przed godziną w ZOR-ze inż. Żuławski pokazywał nam palcem linie ulic i ciągów pieszych, prostokąty placów, krętą wstęgę rzeki i kolorowe kwadraciki zabudowań. Objaśniał nas przy tym, z nutą entuzjazmu w głosie:

— W przeciągu sześciu lat powstaną z gruzów dwie najstarsze dzielnice Gdańska, tzw. „Stare“ i „Prawe“ Miasto. Odbudujemy je jako osiedle robotnicze dla 10.000 mieszkańców: 42 ulice, 1203 budynki, 5390 izb! Zrekonstruowane zostaną oczywiście tylko frontowe domy. Zamiast ciemnych oficyn i ponurych podwórek powstaną wielkie, wewnętrzne zieleńce. W historycznie wiernych kamieniczkach mieścić się będą wygodne i zdrowe mieszkania. Nie tracąc nic ze swego dawnego piękna Gdańsk stanie się nowoczesnym osiedlem ludzi pracy.

W Dworze Artusa otwarty zostanie Centralny Dom Kultury, w Domu Angielskim — hotel. Odbudujemy Teatr przy Targu Węglowym i kino przy Długiej. Szkoły staną przy Ogarnej i Podwalu Staromiejskim. Przedszkola przy Lektykarskiej, Złotników i Ławniczej. Żłóbki przy ul. Minogi i Koziej. Przy Długim Targu gmachy urzędów i instytucji publicznych. Wg. przekroczonego już zresztą planu w tym roku Zakład nasz miał odbudować tylko 14 budynków na Ogarnej, ale w r. 1950 stanie ich już 140, w 1951 r. — 280 itd.

Teraz martwa mapa ZOR-u ożyła. Słowa inżyniera ilustruje życie... Na murach poruszają się czarne punkciki ludzi. Czerwienią się nowe dachy. Oto świeżo pokryta Wieża Więzienna, oto wydobyta z ukrycia Basztą Słomiana, Arsenał i kamienica Schlütera, gdzie zainstaluje się Gdańska Izba Przemysłowa. Żółcą się świeże krokwie na wieżach „Jacek“ i „Łabędź“. Zieleni się wstęga Motławy, za którą widać dźwigającą się z gruzów Wyspę Spichrzów z charakterystycznymi basztami „Stągwi Mlecznych“. Tuż pod naszymi stopami przy Długim Targu piętrzą się nowe mury banków i central handlowych, a w dali między Ogarną, Długą a Garbarami — cały blok kamieniczek „prosto z igły“, lecz niepokalanie stylowych, ze starymi, ocalałymi z pożarów portalami. To pierwszy blok ZOR-u!

Wiosna w listopadzie

Aż wierzyć się nie chce, że to jawa, że w ciągu kilku najbliższych lat znowu wyrosną renesansowe szczytnice przy Zbytkach, Żabimkruku, Kocurkach, Wodopoju, Kołodziejskiej, Piwnej, Długich Pobrzeżach, Ławach Chlebowych... Że marzenia tak szybko przeobrażają się tu w cegłę...

A marzenia te ziszczają się w „gdańskim“ tempie, na trzy zmiany. Dom wyrasta w ciągu czterech i pół dnia. Kto dokonuje takich magicznych sztuk? czarodziejskie, pracowite ręce ludzi z Arsenału, którzy ściągają się z mrozem, murarzy, podpierających walące się filary Katedry, ślusarzy z Ratusza, zwyciężających bałtyckie nordy i żydy, przodowników z Ogarnej, takich jak: Paprocki, Mańkowski, Majchrzak, Żemojtel, Nikielski, Bloch! Na gdańskich wykresach niebieska linia oznaczająca „postęp pracy“ wspina się śmiało i nieustannie wzwyż! Bezradna jest tu mglista jesień. Na przekór chłodom i deszczom rosną ceglane łodygi filarów, kamienne gałęzie rzeźbionych gzymsów wypuszczają stylizowane listki, rozkwitają codziennie ornamenty... Tak, w Gdańsku wbrew kalendarzowi panuje wiosna nawet w listopadzie!

Franciszek Fenikowski

Co robią Niemcy?

Przypomnienie październikowe — W mrokach rewizjonistycznych monachijskiej Kirchliche Hilfstelle — Pokój ponad wszystko.

W październiku we Frankfurcie nad Odrą spotkało się czterystu polskich robotni- z robotnikami niemieckimi, by wspólnie manifestować wolę pokoju i zgody sąsiedzkiej. Delegacja polska przyjęta została serdecznie przez niemieckich mieszkańców miasta, co dało jednej z gazet nawet powód do porównania tego przyjęcia z przyjęciem, z jakim spotykali się w Niemczech roku 1831 wygnańcy z Polski po nieudałym powstaniu listopadowym. Podobne uroczystości odbyły się również i w innych miejscowościach polsko-niemieckiego pogranicza. Szczególnie znamienna manifestacja odbyła się w miejscowości Lunow (Łunow). Łodzie niemieckie i polskie spotkały się na środku Odry, tłumy przybyłe z Eberswalde, Oderbergu (Odrzycko), Lüdersdorfu, Stolzenhagen i Stolpe (Słup) wiwatowały na cześć zgromadzonej po drugiej stronie Odry ludności polskiej, głośniki z brzegu niemieckiego przenosiły przez Odrę słowa pozdrowienia w języku polskim. Niemcy demokratyczne wyraziły swą wolę porozumienia z sąsiadem polskim. To samo potwierdza coraz żywsza działalność berlińskiej Hellmut von Gerlach - Gesellschaft, wydającej własne pismo „Blick nach Polen", przygotowującej ogólnoniemiecki kongres towarzystwa, mającego już swoje oddziały w wielu miastach niemieckich. Coraz przyjaźniejsze stosunki kulturalne polsko-niemieckie, wymiana wizyt pisarzy i działaczy kulturalnych, a nawet wymiana doświadczeń — stwierdzają jedynie tak postępujący rozwój wzajemnego stosunku między oboma narodami.

Na takim tle spora paczka najnowszej, zachodnio-niemieckiej literatury rewizjonistycznej, którą przyniosła nam poczta, domoga się już nie tyle zasadniczej polemiki i dyskusji, ile odnotowania jako faktu ślepoty politycznej i nienawiści — faszystowskiej proweniencji — coraz bardziej tracącej grunt pod nogami, im silniejsze refleksy rzuca życie polskie na zachodniego sąsiada zza Odry i Nysy Łużyckiej. Czegoż nie znaleźliśmy w tej świątecznej paczce — i kalendarz dla Ślązaków (Volkskalender 1950 für Schlesier), wyd. Kirchliche Hilfstelle, Monachium, stron 176, ilustr. 44) zredagowany przez dobrze nam tutaj znanego działacza hitlerowskiego, renegata, dr Rudolfa Jokla, który w okresie okupacji redagował szowinistyczny „Heimat-Kalender des Kreises Rybnik"; numery pisma „Volksbote" ze znamiennym podtytułem: Blätter der Vertriebenen, oraz szczególnie zajadły miesięcznik „Christ unterwegs", wydawany w Monachium; i pracę trzech niemieckich profesorów i doktorów Seraphina, Mauracha i Wolfruma „Ostwärts der Oder und Neisse" (stron 136, 10 mapek), wydaną w Hannoverze; i kilkanaście broszur, próbujących udowodnić, że to Niemcom a nie nam stała się krzywda przez postanowienia traktatu wersalskiego; i egzystencjalistyczne pseudonaukowe prace augustianina wysiedlonego ze Śląska Paulusa Sladka; i obrzydliwą „Ostdeutsche Passion", reklamowaną jako das erregendste Buch der Vertreibung, mogącą konkurować jedynie z równie obrzydliwą książką pióra Dwingera o rzekomych zbrodniach polskich, popełnionych na volksdeutschach w Bydgoszczy. Zresztą rachunek zgadza się, Dwinger został zdenazyfikowany, o literackim bożku wojny Jüngerze pisze się entuzjastyczne oceny w prasie zachodnioniemieckiej, a Reimanna w separatystycznym parlamencie w Bonn nazywa się zdrajcą sprawy niemieckiej za to, że ośmiela się wystąpić za granicą na Odrze i Nysie.

Zadziwiający jest liczny udział instytucji religijnych w tej całej akcji wydawniczej, która ma przede wszystkim polityczne cele na oku. Monachijska Kirchliche Hilfstelle dzierży tu prym, nie ustępuje jej jednak Göttinger Arbeitskreis, który wydał m. in. całą serię książek poświęconą Prusom Wschodnim. Obok kalendarza dla Ślązaków na rok 1950 ukazały się podobne kalendarze dla Niemców sudeckich i Niemców z krajów południowo-wschodnich. Dr Rudolf Jokiel, redaktor kalendarza dla Ślązaków, zbrodniarz wojenny mniejszego kalibru, ale nie mniej bardzo niebezpieczny, zdołał skupić na nowo rozproszonych po Niemczech pisarzy śląskich, którzy z wyjątkiem kilku tylko, jak Hauptmann, Gerhart Pohl czy zmarły na emigracji w Londynie Max Hermann-Neisse, byli wybitnie zaangażowani w hitlerowskim ruchu partyjnym, wspomagali go swą pracą pisarską, nie mówiąc już o szowinistycznym nastawieniu antypolskim. Jest tu więc i August Scholtis i Friedrich Bischoff i Hans Niekrawietz a nawet wierszyk z Alfonsa Hayduka, najczynniejszego z nich, który zdaje się ukrywa się gdzieś w Bawarii. Religijna mgiełka, w jakiej wszystko to się odbywa, ma oczywiście odwrócić uwagę od innych celów tego kalendarza, legitymującego się pozwoleniem władz amerykańskich US-E-253. Przypomnienie śląskich miejscowości natniczych od Piekar po Trzebnicę kończy się niemal wojennym okrzykiem.

Miesięcznik „Christ unterwegs", wychodzący już rok, przypomina w numerze wrześniowym i październikowym głosy kościoła w sprawie wysiedlonych. Powołując się na dawnych papieży, raz jeszcze cytuje obficie i komentuje wystąpienia Piusa XII, dalej wizytatora watykańskiego w Niemczech biskupa Muencha z Fargo, St. Zj. (a więc jeszcze jeden dokument sojuszu amerykańsko-faszystowskiego tym razem na platformie kościelnej), kilku innych biskupów amerykańskich, którzy napadli bezprzykładnie na Polskę w deklaracji ogłoszonej przez radio amerykańskie dnia 17 listopada 1946, oczywiście list pasterski kardynała Mindszenty'ego z dn. 2 października 1947 w sprawie wysiedlonych, wreszcie liczne listy pasterskie i oderwane głosy dostojników kościelnych niemieckich. Pasuje do tego w sam raz ogłoszona nieco dalej kronika rewizjonistyczna z naszych Ziem Odzyskanych, potwierdzająca nasze hasło wzmożonej czujności na tych ziemiach.

Szalejący rewizjonizm zachodnioniemiecki, to nie tyle niebezpieczeństwo dla pokoju światowego, ile poważna przeszkoda na drodze do jedności, demokratyzacji i denazyfikacji Niemiec. Inna rzecz, że tajemnicy tych rewizjonistycznych wystąpień należy zawsze szukać w regionach wysokiej polityki. Bardzo często chodzi po prostu o to, by wysiedleńcy nie komplikowali wygodnego życia tubylców; najlepiej w takim wypadku zamknąć ich w obozie lub pozostawić w jakimś prymitywnym praktycznym prowizorium, w którym trwać będą chętnie, jeśli tylko podkarmiać ich się będzie nadziejami na rychły powrót do domów, leżących za Odrą.

A tymczasem w Niemieckiej Republice Demokratycznej trwa pilna robota wokół utrwalenia innego stosunku polsko-niemieckiego w duszy niemieckiej. Roztacza się opiekę nad wysiedleńcami, daje im się pracę i dom. Boże Narodzenie wysiedleńców w Niemczech Zachodnich ma być według „Christ unterwegs" i ojca Sladka, świętem wspomnień, tęsknoty za utraconą Heimat, ma niecić pamięć powrotu i odwetu. Jakże inaczej zapowiadają się święta w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Lewicowy miesięcznik „Die Aussprache", organ Kulturbundu, zastanawia się nad znaczeniem tegorocznego święta Bożego Narodzenia. Przyznając rację licznym zastrzeżeniom, które odnoszą się do typowo niemieckiego święcenia Bożego Narodzenia, po mieszczańsku mętnego, poleca grupom Kulturbundu, urządzenie wspólnych wieczorków świątecznych, powiedzmy tzw. opłatków, uważając jednak, że treść ich musi być silnie przepojona myślą o pokoju i zgodzie oraz jedności. Zwłaszcza zaś pokój stać się winien naczelnym hasłem tegorocznych świąt. W ten sposób sens ich wiązać się będzie ściśle z aktualnymi wielkimi przemianami w tej części Niemiec.

WISZ

Anna Seghers i o Annie Seghers w Polsce

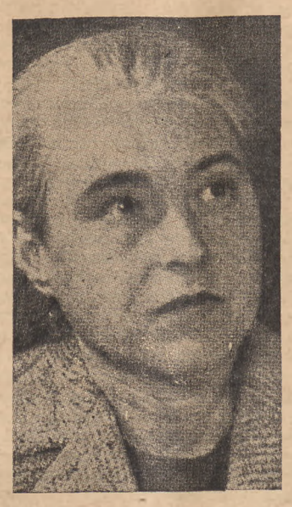

1.

Wilhelm Szewczyk: ANNA SEGHERS, Odrodzenie, 1948, nr 4.

Egon Naganowski: PIÓRO ANNY SEGHERS, Kuźnica, 1949, nr 32.

Jerzy Kowalewski: W SPRAWIE „SIÓDMEGO KRZYŻA", Kuźnica, 1949, nr 38.

Egon Naganowski: JESZCZE W SPRAWIE „SIÓDMEGO KRZYŻA", Kuźnica, 1949, nr 42.

2.

Anna Seghers: NIEWINNI, przełożył Jacek Brzym. Odra, 1947, nr 17.

— MOSTY KULTURALNE MIĘDZY NARODAMI (w przeglądzie prasy niemieckiej), Odra, 1947, nr 47.

— SIÓDMY KRZYŻ (fragment), przełożył Wilhelm Szewczyk, Dziennik Literacki, 1948, nr 13.

— BUTY, przełożył Aleksander Widera, Odra, 1948, nr 13.

— SIÓDMY KRZYŻ (część I, II i III powieści), autoryzowany przekład Wilhelma Szewczyka, Co tydzień powieść, 1949, nr 23.

— WROCŁAW I SAINTE CHAPELLE, przełożyła Maria Leśniewska, Twórczość, 1949, zeszyt 6.

— LISTY DO ZIEMI OBIECANEJ, przełożył Janusz Lamm, Co tydzień powieść, 1949, nr 33.

— GRANICE POJĘCIA REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO, Odra, 1949, nr 29.

— SIÓDMY KRZYŻ (fragment), przełożył Stanisław Wygodzki, Odrodzenie, 1949, nr 44.

3.

Anna Seghers: UMARLI POZOSTAJĄ MŁODZI, Czytelnik, Klub Literacki „Odrodzenie", 1949, stron 537.

— SIÓDMY KRZYŻ, Czytelnik, w przygotowaniu.

— RATUNEK, Czytelnik (Klub Dobrej Książki), w przygotowaniu.

ANNA SEGHERS

UCIECZKA

Poniżej zamieszczamy w przekładzie końcowy fragment „Siódmego krzyża" Anny Seghers, najwspanialszej i najprawdziwszej powieści o Niemczech hitlerowskich, o mechaniźmie życia niemieckiego w okresie poprzedzającym wojnę, o siłach oporu, ukrytych ale działających zawsze wtedy, gdy ktoś przełamując rygory dąży ku wolności.

Dyskusja, jaką na łamach „Kuźnicy" stoczyli niedawno w sprawie „Siódmego krzyża" Jerzy Kowalewski i Egon Naganowski, czytelnikom nie znającym niemieckiego oryginału powieści — polski przekład znajduje się w druku — odkryła złożoną problematykę ideową „Siódmego krzyża". Miał rację Kowalewski, gdy dojrzał w Jerzym Heislerze, siódmym zbiegu z Westhofen, pewien rodzaj magnesu, który wykrywa utajone i jakby zapadłe w ciężki sen antyfaszystowskie siły oporu. W poniższym fragmencie spotykamy się z jeszcze jednym człowiekiem tego typu, z kelnerką z winiarni „pod Aniołem". I to jest ta dynamiczna, niecąca nadzieję strona powieści. Ale ma rację również i Naganowski, gdy nie chce zamykać oczu na inną, gorzką prawdę o rzeczywistości tamtych dni, gdy zwraca uwagę na precyzyjnie funkcjonujący aparat pościgowy władz niemieckich, działających w zgodzie ze spontaniczną nieraz pomocą całych wsi i zespołów ludzkich. Uświadomieni i odważni robotnicy jak Pawełek czy Franciszek nie mogą przesłonić sobą postaci licznych renegatów lub tylko zastrachanych i lojalnych obywateli państwa hitlerowskiego.

Powieść Anny Seghers zatem nie tylko ukazuje możliwości walki z systemem, nie tylko porusza zardzewiałe już tu i ówdzie sprężyny oporu, ale daje także świadectwo gorzkiej prawdzie o zaniku odwagi, o oportuniźmie olbrzymich mas narodu, o polityce wyczekiwania. Powieść Anny Seghers nie jest w żadnym stopniu powieścią tendencyjną, jak tego pragnie Kowalewski, to powieść zawierająca pełną prawdę o Niemcach tamtych dni. Tu leży jej olbrzymia wartość polityczna nie tylko dla Niemiec ale i dla całego świata. Można by ją nazwać traktatem naukowym z pogranicza psychologii i polityki o Niemcach tamtych dni, gdyby nie jej wspaniale beletrystyczny charakter, jej rwący nurt, jej awanturnicza niemal akcja, co słusznie podkreślił Naganowski i co jest jednym ze źródeł jej sukcesów światowych. Złożoność niemieckiej sytuacji duchowej z tego okresu, widoczna w zarysowaniu każdej postaci, renegata, czy pomagającego Heislerowi w ucieczce byłego KPP-owca, nie dopuszczająca do uproszczeń czarno-białych ale wnikająca w głębokie ideowe i praktyczne motywy postępowania — oto szczególna nauka historyczna płynąca z tej lektury.

Poniższy fragment końcowy, wierny technice całości w podejmowaniu licznych wątków i doprowadzaniu ich po mistrzowsku ku rozwiązaniu, ukazuje nam kilka scen obozowych z przesileniem na stanowiskach kierowniczych powstałym wskutek udałej ucieczki; małżeństwo Kressów, ostatnie ogniwo wielkiej kolektywnej pomocy Heislerowi; wreszcie kelnerkę, która — jak to wynika z dyskretnie podanej myśli — odzyskuje świadomość wspólnoty i potrzeby pomocy człowiekowi ściganemu przez system. Holenderski majtek, który niejedno ryzykuje, to symboliczny obraz pomocy z zewnątrz, jaka na mocy wielkiego międzynarodowego porozumienia wydziera z gardła hitleryzmu ofiarę, której bunt ma się okazać nie bezowocny.

Wilhelm Szewczyk

Jak co wieczór w ciągu tygodnia kolumna więźniów ustawiła się w szeregu o godzinie szóstej. Fahrenberg stanął przed kolumną. Przed oddziałem SA po raz pierwszy stał nie Zillich, lecz jego następca Uhlenhaut. Przed SS natomiast widziało się nie Bunsena, bawiącego właśnie na urlopie, lecz niejakiego Hattendorfa, człowieka o podłużnej końskiej czaszce. Ale więźniowie, którzy dawniej zauważyliby najmniejszą nawet zmianę, po męczarniach ostatniego tygodnia znajdowali się w stanie tępej, uporczywej obojętności.

Żaden z nich nie był nawet zdolny rozstrzygnąć, czy ci trzej zbiegowie, których powleczono pod drzewa, byli już martwi czy też ciągle jeszcze żyli. I w ogóle „tańcówka" przed barakiem przypominała raczej jakąś stację przeładunkową, bo trudno było uwierzyć, by miejsce to znajdowało się na ziemi lub w zaświatach. Nawet Fahrenberg, gdy stanął przed czołem kolumny, wydawał się pomniejszony, wychudły i zbiedzony jak wszyscy inni.

W otępiałe umysły więźniów wwierca się teraz jego głos, poszczególne słowa, mówiące trochę o sprawiedliwości i o jej ramieniu, o narodzie i o wrzodzie na ciele narodu, który trzeba wypalić, o ucieczce i o dniu ucieczki, od którego jutro minie równy tydzień. Więźniowie jednak woleli wsłuchiwać się w głosy pijanych chłopów, dolatujące z oddalonych wsi.

I nagle drżenie poszło przez kolumnę i przez każdego z osobna. Co takiego powiedział właśnie Fahrenberg? Wobec tego, że złapano również i Heislera, sprawa zbiegów jest zakończona...

— Zakończona — szepnął jeden z więźniów, idąc do baraku a było to jedyne słowo, które dało się przetłumaczyć.

Ale w godzinę potem w baraku rzekł towarzysz do towarzysza, nie poruszając przy tym ustami, bo mówić nie było wolno:

— Czy sądzisz, że go naprawdę mają?

— Nie, nie wierzę w to — odpowiedział tamten.

I po chwili znów towarzysz rzekł do towarzysza:

— Widziałeś ich zmieszane twarze? Zauważyłeś, jakie sobie dają znaki? Stary dziś w ogóle nie krzyczał. Nie, bratku, tym razem nie było w tym prawdy. Nie, oni Heislera nie mają.

Tylko najbliżsi sąsiedzi mogli zrozumieć, o czym mówili z sobą dwaj obozowi towarzysze. Ale od najbliższego do najdalszego sąsiada doszedł sens i znaczenie wypowiedzianych słów, podczas gdy wieczór powoli przeciągał przez barak.

Bunsen pojechał na urlop, zabierając z sobą dwóch młodszych swoich kolegów, chłopaków ładnych i dowcipnych, choć nie tak błyskotliwych jak on, przez co zresztą nadawali się w sam raz do jego towarzystwa.

Podczas gdy Fahrenberg wygłaszał w obozie przemowę, wszyscy trzej zajeżdżali przed Rheinischer Hof w Wiesbaden. Bunsen wszedł szybko, ciągnąc za sobą obu kolegów, do sali tanecznej, niezbyt jeszcze zapełnionej, ogarniając wszystko po drodze szybkim wzrokiem. Orkiestra grała jednego z tych starych posuwistych walców, które zastąpiły znowu muzykę jazzową. Na jasnej tafli tańczyło w tej chwili około dziesięciu par; ruchy ich stawały się coraz szersze i coraz bardziej porywiste, ale każdy ruch w długiej, białej lub kolorowej sukni czynił krok miększym i posuwistszym. Wszystko zaś razem wzięte, przypominało raczej jakieś święto zwycięstwa lub raut na cześć odzyskania pokoju, gdyż większość mężczyzn tańczyła w mundurach.

Przy jednym ze stolików tuż przy tafli tanecznej zauważył Bunsen swego teścia i skinął mu radośnie głową. Teść był domokrążnym agentem Henekella, konsulem szampańskim, jak siebie nazywał i, jak spiesznie dodawał, kolegą posła Ribbentropa, który dawniej wykonywał ten sam zawód. Wśród tańczących par Bunsen zauważył teraz również i swoją narzeczoną. W napływie podwójnej zazdrości zdawało mu się, że tańczy z obcym mężczyzną, dopóki w chudym świeżo upieczonym poruczniku nie rozpoznał jej kuzyna. Gdy skończył się taniec, zjawiła się narzeczona. Dziewczyna dziewiętnastoletnia, o skórze z bladego brązu, miękka ale o oczach zuchwałych — patrzał na nią i oboje cieszyli się, bo oboje czuli, że są podziwiani przez wszystkich.

Bunsen przyprowadził do stolika obu swoich kolegów, szybko zsunięto stoły, a mały kelner sprawnie rozbił lód maleńkim młoteczkiem. Narzeczona imieniem Hanni oświadczyła zaraz na początku, że to jej pożegnalny wieczór, jutro bowiem zaczyna się dla niej sześciotygodniowy kurs w szkole dla narzeczonych SS. Bunsen dodał do tego, że rzecz ta jest niemałej wagi i spodziewa się, iż narzeczona jego udzielać będzie mogła wkrótce dodatkowych lekcji swoim współuczennicom. Ojciec Hanni spojrzał nań bystro, to samo spojrzenie posłał obu jego kolegom. Ojciec był wdowcem, dowcipnym i sprytnym. Nie zachwycał go specjalnie ów piękny chłopak, w którym zakochała się jego córka. Również i stanowisko Bunsena w Westhofen nie wydawało mu się odpowiednie jak na przyszłego zięcia. Dowiadywał się jednak o jego rodziców. Byli to najzwyklejsi sobie rodzice, drobna urzędnicza rodzina w Pfalz, ludzie całkiem porządni. Że udało im się w nędznym mieszkaniu w Pfalz spłodzić tak udanego chłopaka — rozmyślał wdowiec — to chyba należy uznać za genialny płód rasy.

W międzyczasie lokal zapełnił się. Walce zamieniały się z reinlendrami, po nich zaś następowały polki. Teść Bunsena, jak wszyscy zresztą starsi ludzie na sali, uśmiechał się, gdy płynęła znana jeszcze z dawnych czasów melodia, ożywiająca pamięć dawnych przedwojennych radości. Dawno już nie widziało się na tym miejscu tego prawdziwie świątecznego nastroju, tyle wesołości, swobodnej i niczym niezmąconej. Tam, gdzie bawią się ludzie, którzy uszli przed ogromnym niebezpieczeństwem, lub którym wydaje się, że przed tego rodzaju niebezpieczeństwem się uratowali, wszędzie tam, w całym świecie i w wielu lokalach ujrzeć można taką wesołość i radosną ulgę. Dzisiaj wieczór nie ma tu żadnych malkontentów, nie ma takich, którzy by zepsuli zabawę. Już się o to postarano. Falą Renu płynie cała flotylla małych stateczków Kraft durch Freude a bufet każdego zaopatrzony został w całą naręcz doskonałych henkelowskich win dzięki firmie, w której pracuje ojciec Hanni. W drzwiach sali nie widać nikogo o niezadowolonej twarzy, ukazuje się w nich jedynie mały kelner, który z nieprzeniknioną twarzą rozbija lód maleńkim swoim młoteczkiem.

W tym samym mieście, przed domem zdrojowym, w gromadzie parkujących samochodów stanął także Opel Kressów. Jerzego wysadzili Kressowie w Kostheim, żeby sobie wyszukał jakąś nocną kwaterę, bo ze swoimi dokumentami z trudnością pasował do błękitnego samochodziku. Ostatnie pół godziny Kress znów milczał jak najęty, podobnie zresztą jak podczas pierwszej podróży do osiedla w Riederwald. Gość, który w międzyczasie nabrał kształtów, rozpływał się znów, co zresztą nie miało już żadnego znaczenia i nie wymagało nawiązywania z nim rozmowy. Pożegnania także żadnego między nimi nie było. Po rozstaniu się z Jerzym wśród obojga Kressów dalej trwało milczenie. Nie uzgadniając tego nawet z sobą, pojechali w stronę domu zdrojowego, bo właśnie teraz mieli ochotę korzystać z światła i towarzystwa ludzi. Ponieważ odbijali nieco od reszty w swych zakurzonych ubraniach wycieczkowych, usiedli w kącie sali. Obserwowali to, co można było zaobserwować. W końcu milczenie, trwające już bez mała całą godzinę, przerwała kobieta.

— Czy powiedział jeszcze coś na koniec?

— Nie. Tylko dziękuję.

— Dziwny człowiek — rzekła kobieta — wydaje mi się, że cokolwiek może wyniknąć dla nas z całej tej historii, ja powinnam mu podziękować, że był u nas i że nas odwiedził.

— Także i ja — dodał szybko mąż. Zdziwieni, nagle ujrzeli siebie w świetle nowego, nieznanego jeszcze porozumienia i zgody.

Po wysadzeniu go przez Kressów przed jakąś gospodą, Jerzy zamiast do gospody zaczął schodzić ku Menowi. Wlókł się przez błonia, mijając wielu ludzi, smakujących niedzielę i jesienne słońce, o którym mówili, że podobnie jak jabłecznik ma ono kwaskowaty posmak i że długo się już nie utrzyma. Przechodził właśnie obok mostu, na którym stał posterunek. Błonia rozszerzały się gwałtownie i szybciej niż myślał, nie zauważywszy tego nawet, znalazł się u ujścia Menu. Przed nim płynął Ren a na tamtym brzegu stało miasto, które przebiegał przed kilkoma dniami. Ulice i place miasta, na których sączył swoją krew, zbiły się w kształt szarej niezdobytej twierdzy, odbijającej swój obraz w wodzie. W poczerwienione popołudniowe niebo wrył się zastęp ptaków, w formie ostrego trójkąta, i sunął między najwyższymi wieżami miasta, co żywo przypominało herb miejski. Gdy postąpił jeszcze kilka kroków naprzód, między dwoma wieżami zauważył świętego Marcina, który pochylał się na swoim koniu, by podzielić się własnym płaszczem z żebrakiem, pojawiającym się w jego snach. Jam jest — mówi mu postać ze snu — którego prześladujesz.

Mógł teraz przejść przez drugi most i dotrzeć do jednej z kwater portowych, by sobie wynająć pokój. Nawet gdyby była grubsza kontrola, paszport był w porządku. Bał się jednak, że omotają go pytaniami. Wybrał więc inne wyjście, postanowił przenocować na prawym brzegu i nad ranem zaraz przedostać się na pokład.

Postanowił raz jeszcze wszystko rozważyć. Wciąż jeszcze panował dzień. Zawrócił i włóczył się trochę łąkami wzdłuż Menu. Na rzekę spoglądały wysokie orzechy i kasztany małej wioski Kostheim. Najbliższa gospoda nazywała się „Pod Aniołem", nad szyldem zaś zwisał wieniec brązowych liści na znak, że dają tutaj moszcz.

Wszedł i usiadł w maleńkim ogródku, w najlepszym miejscu, gdy się chce siedzieć wygodnie, samotnie i po prostu, gdy się pragnie patrzeć na wodę i pozostawić wszystko własnemu losowi. Musiał powziąć pewne postanowienia. Usiadł tuż przy murze

(Dokończenie na str. 7)

WALERIAN LACHNITT

Wielki proces rewizji

Von Venzlowski — w powieści Anny Seghers „Umarli pozostają młodzi" — jeden z prowadzonych na rozstrzelanie, podejrzanych o bunt żołnierzy, rysami twarzy, dumnym ruchem głowy przypomniał nagle członka K. P. D., zastrzelonego przed laty w lasku za Wannsee, na drodze do Poczdamu. Co on wtedy rzucił w twarze morderców? „Możecie teraz skończyć ze mną, ale i na was przyjdzie kolej!" Majorowi von Venzlow zdawało się, że te same słowa rzucił teraz za samochodem ten chłopak... Ale pamięta przecież dokładnie, że tamten padł, jakże więc mógł zjawić się pod Stalingradem żywy i młody? „Przeszli nad nim — myśli Venzlow — Noske i Lichtschlag, Kapp i Lütwitz, a on pozostał tak młody! Przecież to jemu właśnie hitlerowcy obiecywali raj na ziemi, nie dał się jednak oszukać. Obrabiali go na wszystkie boki, że aż gnaty mu trzeszczały; wysłali go na wojnę, kazali mu bić się w jednej bitwie po drugiej, nie dał się jednak zastrzelić; i został młody. Nawet teraz kiedy wszystko już było stracone, gotów był jeszcze raz wszystko postawić na jedną kartę".

To zakończenie powieści znakomitej pisarki demokratycznych Niemiec, Netty Reiling, znanej w całym świecie pod pseudonimem Anny Seghers, wypełnia żywą treścią pełen oczekiwania i wiary myślnik, którym zamykają się nasze rozważania o dzisiejszych Niemczech.

Po książkę niemieckiego pisarza sięgamy dziś ze szczególnym uczuciem. Po raz pierwszy w historii u naszych granic zachodnich powstało państwo niemieckie, które raz na zawsze zrywa z agresywnym do nas nastawieniem. To nie są ci Nimcy, których u nas w sposób prymitywny dzielono na złych i dobrych. I oni i my pamiętamy, jaką potworną w swym obłędzie treść zawiera pojęcie: faszyzm. Kiedy teraz nowe, demokratyczne Niemcy stają w wielkiej rodzinie narodów postępu, lepszego jutra, narodów miłujących pokój i wolność — nie wolno odrzucać uczciwie wyciągniętej ręki.

Wielki proces rewizji poglądów, reedukacji narodu musi spotkać się i z naszej strony z gotowością rewizji, przysłowiowego od czasów Wacława Potockiego, powiedzenia o wzajemnym stosunku naszych narodów. W tym procesie dziejowym, poszerzającym obóz postępu o nowe miliony świadomych budowniczych pokoju i socjalizmu, ważną rolę informującą i przekształcającą zakorzenione pojęcia spełnia — literatura. U nas pierwszą uczciwą oceną niedawnych Niemiec, otwarciem szerokiej i jasnej perspektywy na nowe Niemcy — jest sztuka Kruczkowskiego pod tym tytułem. Postępowa literatura niemiecka liczy wiele nazwisk. Wymieńmy niektóre: a więc Bertolda Brechta, którego „Powieść za 3 grosze" mamy w polskim przekładzie, Henryka i Tomasza Mannów, Arnolda Zweiga i Ludwika Renna, przedstawiciela dyplomatycznego Demokratycznej Republiki Niemieckiej w Polsce, dramaturga, autora głośnego „Cjankali" — Fryderyka Wolfa, wypróbowanego naszego przyjaciela — Gerharda Pohla, i wielu innych. Wśród nich jedno z pierwszych miejsc zajmuje Anna Seghers. Ostatnio wpadła mi w ręce jeszcze jedna książka współczesnego pisarza niemieckiego, którego dzieła palono w Niemczech na stosach, książka napisana na emigracji, w Ameryce, przed 6 laty; jest to Franciszka Karola Weiskopfa „Himmelfahrtskommando".

„Umarli pozostają młodzi" Anny Seghers i „Himmelfahrtskommando" Weiskopfa przeczytane jedna po drugiej i jednym tchem — nasuwają ciekawe refleksje o Niemczech wczorajszych, pozwalają wysnuć wnioski, na których buduje się nasz sąd o Niemczech dzisiejszych.

„Umarli pozostają młodzi" to analiza społeczeństwa niemieckiego na przestrzeni prawie ćwierćwiecza: od końca pierwszej wojny światowej do Stalingradu. Z całą szczerością i odwagą pisarza realisty autorka drobiazgowo wypreparowuje podłoże i przyczyny, na których i z których mógł zrodzić się i rozwinąć hitleryzm. Jeden z przedstawicieli niemieckiego wielkiego przemysłu i bankowości, wracając z pamiętnej narady kapitalistów z Hitlerem w Düsseldorfie w 1932 r., cynicznie powiada: „Trzeba nam takiego socjalizmu, który byłby dobry dla wszystkich, musimy połknąć tę pigułkę; to znaczy: wystarczy jeśli pigułka pozostanie tylko na papierze, na recepcie." Taką receptą na opanowanie nie uświadomionych mas — był hitleryzm. Z goryczą mówi o tym w powieści Anny Seghers komunista Martin: „...Bezrobotni, którzy już nie mogą kupić sobie koszuli, cieszą się teraz z brązowych koszul, które otrzymują za darmo... A czerwony sztandar, którego nam nie wolno było rozwinąć, noszą teraz oni: czerwony sztandar z białym kołem i swastyką pośrodku." Wielki spisek kapitalizmu z szaleńcem wyrósł na pożywce junkierskiej mentalności Klementów, Venzlowów i Livenów, którzy, by mieć tytuł do życia, dali wiarę łgarstwu; opętał nawet chłopa — Nadlera; temu do jego kułactwa potrzebna była wizja świata, rządzonego przez jakąś potęgę, jeśli blask spłynie i na niego, jeśli jej będzie ślepo i posłusznie służył.

Ale są w tym społeczeństwie, ukazanym przez Annę Seghers, jeszcze inni ludzie. Geschke nie darmo przechowuje pod podłogą swój karabin. Jeszcze będzie potrzebny. Erwin, bojowiec K. P. D. padł od kuli Venzlowa, ale jego i Marii syn, Hans, nie zdradzi ideałów życiowych swego zamordowanego ojca. Wszczepi mu je Martin, przyjaciel Erwina. To Hans śmiałym ruchem głowy przypomniał Venzlowowi pod Stalingradem jego ofiarę.

Powieść Anny Seghers nie kończy się jednak jeszcze jedną śmiercią człowieka w walce. Ma ona swój ciąg dalszy; dostrzegamy go wyraźnie i rozumiemy dobrze. Powiew Czerwonego Października, owiewający tych, którzy padli, jest silniejszy od śmierci. Padnie może jeszcze i Hans, ale już jego nie narodzony jeszcze syn znajdzie się wśród zwycięzców. Umarli pozostają młodzi.

Urzekającym, krzepiącym optymizmem tchnie powieść Anny Seghers. Optymizm ten płynie z wiary w człowieka, z wiary w zwycięstwo nieodwracalne procesu społecznego, który przyniesie ostateczną klęskę wszelkiemu faszyzmowi, kapitalizmowi, imperializmowi, nędzy i wojnie. Trzeba tylko walczyć. A żeby walczyć, trzeba rozumieć, jasno wiedzieć, o co się walczy. O tym, jak do tego rozumienia Niemcy dochodzili, co ich trzymało w straszliwym kręgu strachu przed Gestapo — mówi powieść Weiskopfa „Himmelfahrtskommando". „Umarli pozostają młodzi" to była drobiazgowa analiza całego społeczeństwa, poprzeczny jego przekrój, generalna rozprawa z politycznymi i ekonomicznymi czynnikami, odpowiedzialnymi za zbrodnie faszyzmu. Analizę moralną przyczyn psychologicznych — daje Weiskopf.

W okupowanej Pradze niemiecki żołnierz, Holler, jest świadkiem i biernym uczestnikiem hitlerowskich okrucieństw. Słowa Nietzschego „Herren kennen keine Liebe" znajdują tu swoje straszliwe wcielenie. Hitlerowski system niby stalową obręczą spina i od świata oddziela zarówno podżegaczy do zbrodni i zbrodniarzy, jak i ich dobrowolnych czy wzdragających się wspólników, a nawet bezpośrednio niewinnych, ale w te zbrodnie wtajemniczonych. Rządzi nimi „Kraft durch Furcht". Jedni poddali się temu systemowi dobrowolnie, upojeni władzą nad życiem i śmiercią; inni przez niemożność zdecydowania się na opór; jeszcze inni z zamiłowania do porządku, do tego niemieckiego, tępego i ślepego „Ordnung", o którym ktoś powiedział, że jest tylko płaszczykiem chaosu; jeszcze inni wreszcie brali udział w egzekucyjnych wyprawach po prostu dla dodatkowej racji wódki. Ale wszystkimi ani na chwilę nie przestawał władać — strach, potworny lęk przed zmiażdżeniem w wypadku oporu. W tym ponurym obrazie psychiki Niemców w okresie hitleryzmu tylko tu i ówdzie świecą jasne punkty — świadomi bojownicy wolności. Do rodziny Erwina i Hansa z powieści Anny Seghers w „Himmelfahrtskommando" należą matka Hollera, jego siostra Barbara, biorąca czynny udział w czeskim ruchu oporu, i Maurer, który otwiera Hollerowi oczy na prawdę. Maurer już zadecydował, jego już się strach nie ima. Jego drogę musi odbyć każdy, kto od myślenia chce przejść do działania: „Jest coś większego niż tak zwane cnoty narodowe, które zmuszają do stania na baczność od kołyski do grobu. Coś o wiele większego, Holler, mianowicie: porządnie, w sposób godny człowieka — żyć. Jeśli się to odnajdzie, wtedy znajdzie się też i siłę, by się uwolnić od strachu przed myśleniem i działaniem."

W dzisiejszych Niemczech — w demokratycznych spontanicznie, w zachodnich krępowany — dokonuje się ten proces przejrzenia, wielki proces wychowawczy, akt nie ekspiacji, nie pokuty lecz powrotu na drogę człowieczeństwa. Demokratyczna literatura niemiecka nie wybiela Niemców, nie tai gorzkiej prawdy o odpowiedzialności za to, co wyrządzili światu. Ale pokazuje właściwego tych zbrodni winowajcę: potworność faszystowskiego systemu. I pokazuje równocześnie klasę, która odrodzi Niemcy: proletariat. Literatura ta jest zarazem ostrzegawczym głosem: ucząc walki, przestrzega przed biernym poddawaniem się próbom odrodzenia faszyzmu.

Dla pomostu wzajemnego porozumienia i współżycia narodów z Niemcami, ich literatura demokratyczna buduje przyczółek przyjaźni. Poznając ją przyczyniamy się do budowy takiego przyczółka z naszej strony. A łączyć człowieka z człowiekiem — to wielkie i piękne zadanie.

Walerian Lachnitt.

Z całego świata

W czasopiśmie „Literaturnaja gazeta“ W. Kożewnikow umieścił artykuł omawiający rolę literatury radzieckiej i zainteresowanie nią w państwach demokracji ludowej. Stwierdza on, że narody państw ludowo-demokratycznych budujące swoją socjalistyczną kulturę biorą sobie za wzór literaturę radziecką, która jest wielkim przykładem artystycznego rozwoju zwycięskiego narodu. W związku z tym wskazuje on na odpowiedzialność, która ciąży na literaturze radzieckiej jako torującej drogę nowym ideom i nowej estetyce. Autor omawia szerzej popularność literatury radzieckiej w Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii, na Węgrzech i w Polsce. Z przytoczonych w artykule cyfr zwraca uwagę pozycja 672 przekładów z literatury radzieckiej w Bułgarii powojennej przy nakładzie 5 i pół miliona egzemplarzy.

Z nowych dzieł pisarzy radzieckich zwracają uwagę: sztuka Mikołaja Wirty o walce patriotów jugosłowiańskich przeciw klice Tito, sztuka W. Niekrasowa z akcją rozgrywającą się pod koniec ostatniej wojny i w pierwszym okresie po jej zakończeniu, powieść A. Karawajewej „Jaworowa dolina“ stanowiąca trzeci tom trylogii „Ojczyzna“. M. Tichonow wydał tom wierszy „Wiosna gruzińska“ (75.000 nakładu), L. Leonow tom prac publicystycznych z lat 1941—1948, S. Marszak „Wiersze wybrane“.

Z surową krytyką spotkał się zbiór nowel znanego pisarza V. Azajewa, autora powieści „Daleko od Moskwy“. Tom ten zatytułowany „Złoto“ a wydany po wymienionej powieści oceniany jest jako cofnięcie się pisarza w jego rozwoju. Zarzuca mu się sentymentalizm, przewagę pustych dyskusji nad działaniem, gubienie się w drobiazgach i nieudolność w odtwarzaniu typowych cech psychicznych radzieckiego człowieka.

Dyskusja przeprowadzona ostatnio w Wydziale Propagandy i Agitacji WKP (b) z udziałem N. Gorniakowa i T. Chrennikowa wykazała pomyślniejszy w ostatnim czasie rozwój radzieckiej twórczości operowej. Niektóre teatry nawiązały bezpośredni kontakt z kompozytorami i pisarzami i przygotowują premiery nowych oper. Poddany został krytyce Związek Pisarzy Radzieckich za brak kontaktu pisarzy z kompozytorami i zaniedbanie zagadnienia nowych tekstów operowych. Dostarczenie teatrowi radzieckiemu nowych oper o współczesnej tematyce jest jeszcze nadal zagadnieniem otwartym. Jest to najważniejsze zadanie w tej dziedzinie twórczości artystycznej.

W Paryżu przygotowywany jest nowy proces literacki o charakterze politycznym, przypominający niedawny skandaliczny proces Krawczenki. Jako oskarżyciele mają wystąpić tym razem niektórzy emigranci z państwa demokracji ludowej. Oskarżonymi będą: autor książki „Międzynarodówka zdrajców“ Renaud de Jouvenel oraz autor wstępu do niej Andre Wurmser. Autorzy ci odsłonili kulisy zdrady, którą popełnili w stosunku do swych narodów przebywający na emigracji politycy, a zainteresowani wnoszą skargę o oszczerstwo. Proces ma stanowić znowu atak na państwa demokracji ludowej i Komunistyczną Partię Francji.

Władze francuskie zakazały nadania przez radio prelekcji Maurice Thoreza na temat jego książki „Syn ludu“, której rozeszło się dotychczas 260.000 egzemplarzy. Na znak protestu współpracę z radiem zerwali m. in. Paul Eluard i Claude Roy.

W okresie Międzynarodowego Tygodnia Studenta Paryż był widownią wielkich manifestacji studenckich. Jedna z liczniejszych demonstracji odbyła się na dziedzińcu Sorbony. Postępowy charakter tych manifestacji wiązał się z postulatami polepszenia sytuacji materialnej studentów francuskich, których położenie na skutek kryzysu gospodarczego i wzrostu kosztów utrzymania oraz opłat stało się ostatnio fatalne.

Nowe opracowanie dziejów Finlandii w objętości 1500 stron wyszło ostatnio pod redakcją prof. Arwi Korhonena. Pracowało nad nim przez przeszło trzy lata 15 historyków. Jest to pierwsza tego rodzaju publikacja od r. 1904.

Teatry w Danii wystawiły od początku tegorocznego sezonu teatralnego 11 nowych sztuk autorów duńskich. Z tych prapremier trzy tylko wystawił teatr królewski, podczas gdy osiem pozostałych wystawiły teatry prowincjonalne nie korzystające z żadnych subwencji i obciążone wysokim opodatkowaniem.

Na rynku wydawniczym Czechosłowacji zanotowano w ostatnim roku spadek nowości literackich. Stan ten ulegnie zmianie w okresie najbliższych miesięcy, które mają przynieść przeszło 30 nowych powieści, 7 tomów nowel, około 10 tomów poezji, 11 sztuk teatralnych i 13 książek dla dzieci. Będą to przeważnie dzieła o tematyce współczesnej oraz nowoczesne ujęcia tematyki historycznej. Z wybitniejszych pisarzy i bardziej znanych z nowościami wystąpią Jan Drda, Wacław Rzezacz, K. J. Benesz, Jaromir John, J. S. Kubin, Paweł Naumann, Wojciech Martinek, Paweł Bojar, Helena Dworzakowa i in.

Akademia Szwedzka postanowiła nie udzielić w bieżącym roku literackiej nagrody Nobla, gdyż żaden z czterech kandydatów do tej nagrody nie uzyskał absolutnej większości głosów. Wśród kandydatów tych znajdował się również Winston Churchill, który rywalizował m. in. z Benedettem Croce.

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

6 tomów

Państwowy Instytut Wydawniczy

(920)

LESZEK GOLIŃSKI

UŚMIECH SMUTNEGO WIEKU

Znamy go z lat naszej młodości. Ze szkolnych lat: kiedy, zalecony przez kuratoria leżał na pulpitach, zapełniał wyobraźnię i sny. Cały rok, pamiętam, żyliśmy przygodami Emila Tischbeina i jego towarzyszy, młodych detektywów. Nie była to zbyt pouczająca dla nas lektura, to prawda: traktowano ją raczej, jako ćwiczenie w języku niemieckim. Nie różniła się niczym od fabrykowanych stosami podobnych, jak kropla wody, opowiadań dla młodzieży, gdzie w myśl chrześcijańskiej moralności zawsze królowała w rezultacie sprawiedliwość, gdzie uczniowie szkolni zamieniali się w bohaterów Maya i Londona, ale nie przestawali przy tym być wzorowymi synami swoich mieszczańskich matek.

Nie rozumieliśmy wtedy autora. Nikt zresztą nie starał się nam otworzyć oczu na Kaestnera — wspaniałego satyryka społeczeństwa niemieckiego, na Kaestnera, historyka swojej epoki, na Kaestnera — bojownika o lepsze jutro dla uciemiężonych klas społecznych. Co więcej, minęła wojna, na ławki szkolne znowu powróciła **„Latająca izba szkolna“**, wzruszająca opowieść wigilijna o młodych, dzielnych gimnazistach z miasteczka niemieckiego i znowu wrócił Kaestner w swojej dawnej postaci: dobrego bajkopisarza, przyjaciela młodzieży.

Zabrakło i tu komentarza, który nawet w literaturze młodzieżowej tego zdolnego poety każe się dopatrywać niezwykłych treści. Zabrakło zobrazowania tych stron twórczości Kaestnera, które zasze regowały go do „Dziesięciu sprawiedliwych“.

„W każdej niedorzeczności, która się zdarza — czytamy w „Latającej izbie szkolnej“ — **są nie tylko ci winni, którzy je czynią, ale i ci, którzy się jej nie przeciwstawiają“.** Gdybyśmy odnieśli te słowa do społeczeństwa Niemiec hitlerowskich, nabrałyby one głębokiego sensu, znacznie głębszego od przestróg, dawanych przez mądrego profesora swoim niesfornym wychowankom.

Kaestner powtórnie czytany obnaża przed nami wartości, których nie widzieliśmy, patrząc na jego kolorowe książki oczyma dziecka. Świat jego powieści pogłębia się, uwypuklają się zagadnienia, których nie pokazywano nam, które wykreślone były skwapliwie w szkolnych wydaniach. Całe zagadnienie społeczne, życie wielkiego miasta, życie proletariatu miejskiego nabiera nowych barw. Bohaterowie Kaestnera, to ludzie dla których sto marek jest zawrotną sumą: i zarazem wyrasta zaraz cały nonsens ustroju kapitalistycznego, w którym dzieci muszą stawać się detektywami, wychowankami ulicy, w których sprawiedliwość nagradzana bywa banknotem tysiącmarkowym, a morał opowieści zamyka się w stwierdzeniu, że pieniądze przesyłać należy pocztą. Bo w gruncie rzeczy smutne jest dzieciństwo Emila i jego detektywów. Smutne, choć przywiązuje Kaestner do tej młodzieży tak ogromne nadzieje.

Jak w każdej bajce, tkwi w młodzieżowych powieściach Kaestnera zagadnienie poważniejsze. Wiara w świat, naruszona poważnie przez gorzkie doświadczenia młodości i współczesnej epoki oparta jest właśnie na tej młodzieży. Kaestner chce w towarzyszach Emila i Jonathana Trotza widzieć kapitał lepszej przyszłości Niemiec. Chce w przedsiębiorczości, w zbiorowej odpowiedzialności, w dzielności młodego pokolenia znaleźć gwarancję, że ci młodzi ludzie zbudują świat inny i lepszy od tego, który stał się współudziałem autora, Chce oprzeć na nich swoje nadzieje, bo nadzieje te i tylko one pozwalają mu żyć. Z katastrofizmu, z pesymizmu, z głębin kryzysu kapitalistycznego, z parodii republiki weimarskiej, z pęt wielkiego świata, ucieka Erich Kaestner w zaczarowany kraj dzieciństwa, gdzie wolno śnić bezkarnie, gdzie małe rzeczy wydają się wielkimi, a ludzie są bezwarunkowo lepsi.

Są to lata trzydzieste tego stulecia. Kto ma dobry słuch, usłyszy już grzmot podkutych butów hitleryzmu. Kto ma dobry wzrok, zobaczy w małych detektywach pimpfów i chłopaków z hitlerjugend. Czy Kaestner tego nie widzi? Może widzi także. Może słyszy równie dobrze. Bo cechy mieszczaństwa, które osłabiły bojowość i wewnętrzną zwartość proletariatu niemieckiego, staną się doskonałą pożywką dla nazizmu. Bo Niemcy, prawdziwe Niemcy rozpłyną się w Apfelkuechen i popołudniowej kawie.

Młodość Ericha Kaestnera upływała w innej atmosferze. Nad kolebką jej stał dekadentyzm ostatnich wzlotów kultury drobnomieszczaństwa. Wiódł ją za rękę w świat kapitalizm. Nie pozwolił on młodemu Kaestnerowi skończyć gimnazjum, tylko wysłał go na gromadną rzeź anno 1915 za błogosławieństwem klasowego katechety i pobożnych ciotek.

W wierszu „Rocznik 1899“ tak o tym pisze:

„Zaprowadzono nas do wojska
Jako mięso armatnie
W szkołach pozostały puste ławki
W domu płakały matki“

A w innym wierszu, zatytułowanym „Ośmioklasiści w uniformach“:

„Pan rektor Jobs był teologiem
Dla Boga i Ojczyzny
I każdemu, który szedł na wojnę
Ściskał gorąco dłoń“.

Wiersz ten zaopatruje Kaestner przypiskiem: „Jeszcze dziś chętnie przypominają sobie oni, spożywając swoje pensje, owe wielkie czasy“.

Okrucieństwo wojny wzbudziło w Erichu Kaestnerze głęboki cynizm, narodziło w sercu młodego satyryka gryzącą ironię do współczesnej mu epoki i ludzi, którzy ją tworzyli. Nie był to jednak cynizm wszechogarniający. Był to cynizm, była to ironia, skierowana swoim ostrzem na klasy posiadające, na wszystkich tych spadkobierców pruskiego militaryzmu, pietyzmu, drylu. Kaestner i jego rówieśnicy czuli się „małymi spodkobiercami wielkich złoczyńców“.

W tym świecie zła i rozpaczy, samobójstwa i zbrodni doszukuje się on pozytywnych sił, które wyraża jednak bezosobowo. Szuka także często ucieczki przed zgangrenowaną, zgniłą rzeczywistością wielkomiejską w ramionach kupnej miłości, przepaja swoje wiersze wulgarnym erotyzmem. Jest to tradycyjny już symptomat owych lat kryzysu, inflacji pieniądza i pojęć.

Wojna rodzi pacyfizm. Wojna rodzi kapitalizm, reakcję kapitalizmu, amerykanizację życia ówczesnych Niemiec. Sztandary nawpółfeudalnej armii wilhelmińskiej służą do przykrywania chłopskich stołów. Miasta, dyszące wyzyskiem kapitalistycznym, opada szarańcza głodu, upadek moralności, niepewność jutra rozbicie rodzin, siedem grzechów głównych panoszy się na ulicach Berlina. Jakże to walczyć z tym światem, jak wykazać mu swoją pogardę? Tchórzliwsi lub bardziej bezkompromisowi czynią zamach na własne życie, odważniejsi i bardziej przewidujący planują zamach na własne państwo. Erich Kaestner nie należy ani do jednych, ani do drugich: jego bronią jest satyra, z którą wychodzi na ulicę. Jest zakochany w Berlinie i właśnie dlatego tak cierpi i tak celnie mierzy w to, co jest hańbą jego miasta.

Ośmiesza więc starsze pokolenie, to, które stało się pośrednim lub bezpośrednim sprawcą ostatniej wojny. Ośmiesza więc cechy tego pokolenia, cechy mieszczaństwa i junkierstwa, które pragną opanować znowu umysły i przyzwyczajenia narodu. Zaletą dobrej satyry jest nie tylko ośmieszać przeszłość i teraźniejszość, ale bronić przyszłości przed zalewem zła.

„O n i chcieli wojny. N a m spuszczono baty.
Bawimy się chętnie flintą, albo nożem.
Na grobach żołnierzy zasiejemy kwiaty.
S t a j e m y się zwolna. Nawet lepsi może?

Czy to początek? Albo może koniec?
Parskamy śmiechem stu zagadkom w twarz
Plujemy — fuj, Herr Kaestner — w nasze dłonie
I idziemy t r w a ć. (Elegia).

Pesymistyczny determinizm, uwidoczniony w tym wierszu, ma swoje głębsze przyczyny. Kaestner był w tym czasie skromnym urzędnikiem, **trwał**, jak pisze w gwarze wielkiego miasta, ukazującego, jak w przekroju, niedorzeczności stosunków społecznych.

Obraz kapitalizmu odbija wiersz „Czas jedzie autem“.

„Miasta wciąż rosną. Giełda idzie w górę.
Kto ma pieniądze, wzbudza zaufanie...

I dalej:

„Czas jedzie autem. Ale bez szofera.
Życie przemija, jak przydrożny kamień.
Niższych podatków nie można pobierać
Choć ministrowie lubią to popierać.
A świat się kręci, ale się nie łamie.“

Mieszczańska moralność, tania litość nad niedolą ludzką obca jest Kaestnerowi. Objawi on w dalszych wierszach swoją prawdziwą twarz, pełną gniewu i wezwania do obrachunku społecznego. Teraz jeszcze szydzi i drwi:

„Wieczór podaje usta nocy
Z parku szept płynie zeschłych liści
Dobrze jest wtedy ścieżką kroczyć
Z sercem bez żądła nienawiści.

I widząc kogoś, kto przy płocie
Stoi bez płaszcza, drżąc na wietrze
W przystępie wetknąć mu dobroci
Dziesięć fenigów w głodną kieszeń.

I w dumy snach, w wielkości dreszczach
Iść wprost do domu, zasnąć prędzej
I śnić, że Pan Bóg dobrych mieszczan
Zapisał czyn ten w swojej księdze...“

Najboleśniejszym, najbardziej wzruszającym oskarżeniem czasu jest jednak wiersz „Kurt Schmidt, zamiast ballady“. Kurt Schmidt „10 godzin leży niemy i ślepy, 4 je i jedzie do roboty, 9 stoi w swojej fabryce szkła, a jedną godzina pozostaje mu na wyższe interesy“.

„W poniedziałek zaczyna się nowa strofa
A piosenka zawsze jest ta sama
Rok umiera. Rodzi się rok nowy
I cokolwiek by przyszło, nie przychodzi zmiana.
Czas maszeruje krokiem grenadiera
Za dniami dni. I Schmidt też musi iść.
Czas jest i ginie. Schmidt jest i umiera.“

Pewnego dnia spostrzegł Kurt Schmidt, że nie jest sam. I że nie ma na świecie takiego narodu, gdzie by właśnie oni, Schmidtowie, nie stanowili olbrzymiej większości. Kurt Schmidt jednak nie potrafi znaleźć rozwiązania. Aż przyjdzie taki dzień, gdy, zamiast upomnieć się o swoje prawa, w godzinie, przeznaczonej na „wyższe interesy“, odbierze sobie życie.

Motyw samobójstwa jest częsty w wierszach Kaestnera. W „Salto mortale“ nazywa on wręcz uratowanie komuś życia morderstwem. Czy opłaca się żyć na tak głupio urządzonym świecie? W święto Bożego Narodzenia, kiedy poeta pisze wiersz „Rewolucjoniście Jezusowi na urodziny“, nazywając jego życie i ofiarę daremną, bo świat i tak się nie zmieni, idą bezrobotni długimi szeregami za miasto, gdzie w lesie stoją lśniące w słońcu, posrebrzone śniegiem choinki. Zamiast ozdób — tak, makabra może być również bronią satyry — wiszą na nich wisielcy. Miliony popełniają samobójstwo. Pesymizm zatruwa każdą myśl.

Z czasem dopiero szuka poeta innego rozwiązania zagadnień społecznych. Najpierw zwraca — bezpłodną narazie — nienawiść przeciw milionerom, sprawcom wojen i kryzysów, sprawcom śmierci milionów ludzi.

„Jak długo chcecie się jeszcze wzbogacać? — woła w „Przemowie do milionerów“ — **Jak długo chcecie ze złota i papierów magazynować role, pakiety i stosy? Wszystko stracicie“. „Milionerom źle się wiedzie,** — pisze gdzie indziej — **pozwólcie im zarobić. Mózg jest dla was, małych ludzi, luksusem“.** Rodzi się w nim pogarda do swego narodu, że nie potrafi przeciwstawić się, smaga go biczem satyry bezlitośnie, bo widzi, że ten naród potrafi tylko pomnażać szeregi żołnierzy imperializmu lub popełniać samobójstwo, jak Kurt Schmidt.

„Kiedy was zepchną jeszcze głębiej
I wcisną wrogom broń do ręki
Gdy więzieniami będą gnębić
I strzelać do was i bić po gębie,
Ginąc, powiecie grzecznie: dzięki...“

I już w każdym wierszu będzie teraz Kaestner podjudzać, budzić zagubioną dumę w wyzyskiwanych, uciemiężonych, sponiewieranych klasach narodu niemieckiego. Będzie budził w nich ludzi, ratował ich godność ludzką. Sprzymierzy się coraz mocniej z tymi, którzy niezłomnie stoją po drugiej stronie barykady i niosą wysoko sztandar narodu niemieckiego, sztandar sprawiedliwości społecznej.

Kaestner poszedł na emigrację, żegnany nieprzyjaźnią całego mieszczaństwa niemieckiego. Nie był mu miły człowiek, który grzmiał prawdą w oczy i nazywał rzeczy po imieniu, o którym zwykło się wstydliwie milczeć. W ciągu kilkunastu lat republiki weimarskiej niejednokrotnie otrzymywał pisarz listy z zapytaniem: **„A gdzie są ludzie pozytywni w pańskich wierszach, panie Kaestner?“**

Satyryk odpowiadał wierszem **„Potrzebujecie znowu wazeliny, aby posmarować swój suchy chleb** — wołał — **Ja nie chcę oszukiwać! Nie będę oszukiwać! Czas jest czarny i ja go nie wybielę“.**

A czas istotnie był czarny. Cechował go nawrót wszystkich narowów mieszczaństwa, wszystkich przeklętych win narodu, które doprowadziły do jednej już wojny. Czy winien był temu naród? Czy naród niemiecki jest jakimś szczególnym narodem, który rodzi się z ostrogami i pikelhaubą? W wyobraźni satyryka, widzącego wszystko w krzywym zwierciadle — tak. W pojęciu historycznym nie może istnieć większy nonsens, niż takie twierdzenie. Ono właśnie przyczyniło się do wytworzenia jakiejś psychozy wokoło narodu niemieckiego, iż jest to naród notorycznych złoczyńców i zbrodniarzy. Psychozy o tyle szkodliwej, że wzbudzającej wtórny rasizm, podżegającej szowinizm obu stron, uniemożliwiającej normalną współpracę z narodem niemieckim, który stoi na drodze pokojowego rozwoju. Psychozy o tyle zbrodniczej, że, aktualna w czasie, gdy u steru władzy w Niemczech stał kapitalizm i nacjonalizm, podsycany przez imperializm rodzimy i kapitał międzynarodowy, stała się anachronizmem i głupstwem w momencie, gdy do władzy w Niemieckiej Republice Demokratycznej doszły siły postępowe, niemiecka klasa robotnicza i sprzymierzona z nią część inteligencji burżuazyjnej, rozumiejącej wielkość przemian i dwukrotny błąd narodu jako całości, w roku 1914 i 1939.

Nie dziwmy się więc, że Kaestner rzecz ujmuje w satyrycznym skrócie. Trudno jednak nie przyznać głębokiej, racji jego satyrze pt. „Inna możliwość“, rozważającej, co by się stało, gdyby Niemcy wygrały pierwszą wojnę światową. **„Gdybyśmy wygrali tę wojnę** — pisze — **nie byłoby już ratunku dla Niemiec. Stałyby się one podobne do domu wariatów... Ustępowalibyśmy z trotuaru na jezdnię i prężyli się na widok sierżantów... Nawet w łóżkach przyciskalibyśmy ręce do szwów spodni. Kobiety musiałyby rodzić jedno dziecko na rok. W przeciwnym razie areszt. Państwo potrzebuje dzieci, jak konserwy. Krew smakuje mu, jak sok malinowy. Gdybyśmy wygrali wojnę, niebo byłoby narodowe. Proboszczowie nosiliby epolety, a Bóg byłby niemieckim generałem. Granice zastąpiłyby rowy strzeleckie, księżyc byłby guzikiem gefreitra, mielibyśmy cesarza i hełm zamiast głowy... Na szczęście nie wygraliśmy jej“.**

W „Patriotycznej rozmowie w łóżku“ drwi sobie Kaestner: **„Tak, my mamy fabrykować dzieci dla wojska. Dla nich. Dla fabryk i warsztatów. Dla mniejszych pensji. Dla przegranych wojen“.**

Wtedy już w latach, gdy jeszcze nacjonalizm hitlerowski był w powijakach, gdy faszyzm jako realna siła polityczna ząbkował dopiero, Erich Kaestner w snach swoich widział i satyrach malował straszliwe widmo już nie drugiej, ale ostatecznej wojny ludzkości, która przyniesie światu zagładę. Obraz to naprawdę proroczy: w swojej apokaliptycznej grozie, w swoim nastroju lęku śmierci wstrząsał i wstrząsa do dnia dzisiejszego sumieniem ludzkości.

„Dwunastego czerwca 2003 roku taka depesza obleciała świat: eskadra bombowców policji powietrznej pragnie wymordować całą ludzkość.

— Rząd świata — objaśniono — postanowił, że plan zachowania pokoju nie da się inaczej zrealizować, jak przez wytrucie wszystkich zainteresowanych.

— Ucieczka, wyjaśniono nie ma celu, gdyż ani jedna dusza nie zostanie przy życiu. Nowy gaz trujący przeniknie do każdej kryjówki: nie ma sensu samemu pozbawiać się życia.

— 13 czerwca wyleciało z Bostonu tysiąc bombowców, napełnionych gazem i bakteriami i rozpoczęło, lecąc wokół świata, nakazany przez rząd mord.

— Ludzie czołgali się pod łóżkami, uciekali do piwnic i do lasu. Trucizna wisiała żółtą chmurą nad miastami, miliony ciał leżało na asfalcie.

— Każdy myślał, że ujdzie swojej śmierci, ale nikt jej nie uszedł i świat stał się pusty. Wszędzie panowała trucizna. Skradała się na palcach, przemierzała pustynie, przepływała morza.

— Ludzie leżeli stosami, inni, jak lalki, zwisali z okien: zwierzęta w ZOO krzyczały rozpaczliwie, zanim i one nie umarły. Zwolna gasł ogień w wielkich piecach.

— Parowce pływały po morzach pełne zmarłych i nie było już na świecie ani płaczu, ani śmiechu. Błądziły tylko samoloty z tysiącem martwych pilotów na niebie, póki i one nie runęły w płomieniach w dół.

— Teraz osiągnęła wreszcie ludzkość to, czego pragnęła, choć metoda, trzeba przyznać, była humanitarna. Ziemia zakreślała, cicha i zadowolona, swój dawny eliptyczny łuk“.

Rozumiemy teraz, dlaczego człowiek tej miary, co Erich Kaestner bez żadnych zastrzeżeń, bez chwili wahania stanął w szeregach frontu obrońców pokoju, który obiega cały glob. W epoce narodzin lęku i śmierci z jednej, sprawiedliwości i pokoju z drugiej strony, strofy Ericha Kaestnera stały się wyznaniem wiary milionów prostych ludzi.

Leszek Goliński

ERICH KAESTNER

Fantazja jutra

Już nowa wojna się zaczyna,
aż tu kobiety: — Nie! —
I w izbach męża, brata, syna
więżą na kłódki dwie.

Pochodem walą w każdym kraju
przed podżegaczy dom;
za kołnierz drabów wyciągają,
w ich garściach kije tkwią.

Każdego kładą na kolano,
co chciał podpalić świat.
Ministrom, generałom, panom
szeroki kroją zad.

N'ejeden kij się w strzępy zmienia.
Niejeden warchoł ścichł.
We wszystkich krajach zawodzenia,
lecz wojna — w żadnym z nich.

Kobiety w dom wracają strojnie,
gdzie mężczyzn więził klucz:
— Już pokój — mówią — już po wojnie!
Oni u okien, niespokojni,
stronią od kobiet ócz...

Przełożył z niemieckiego:
Jan Baranowicz

ERICH KAESTNER

Pewien facet i trzech panów

Przedmieście. Na przednim planie — symetrycznie z lewej i prawej — niziutkie kikuty domów. Zza kulisów wychodzi zapowiadacz, zbliża się do rampy i pozdrawia rzeczowo zgromadzoną publiczność

ZAPOWIADACZ: Pragniemy pokazać państwu małą sztukę dydaktyczną. Te dydaktyczne sztuczki były kiedyś w modzie i przyznać można, że miały niejedną dobrą cechę. Ponieważ liczyć się należy z tym, że nie wszyscy wiedzą już, co to takiego jest sztuczka dydaktyczna, wyjaśnię po krótce to pojęcie. Fryderyk Schiller uważał scenę za zakład umoralniający. Scena — sądził on — spełnia rolę pedagogiczną i tak jak pigułki połyka się z cukrem, tak nauki ze sceny podaje się w formie rozrywki. Inaczej ma się jednak ze sztukami dydaktycznymi, które nie zawierają w sobie elementów rozrywkowych. Tu autor wychowuje publiczność stanowczo i bez łagodzących okoliczności. Podaje jej pigułkę, oszczędzając na cukrze. W przeciwieństwie do schillerowskiego pojęcia sceny jako zakładu umoralniającego sztukę dydaktyczną nazwaćby można umoralniającym zakładem karnym. Więcej, według mego mniemania, nie trzeba na ten temat mówić. *(W stronę kulisów)* Sądzę, że możemy zaczynać.

Z prawej wychodzi trzech mężczyzn, przystają przed prawą ruiną domu i rozmawiają z sobą po cichu. Z lewej wchodzi na scenę człowiek pchając przed sobą taczkę z cegłami. Przystaje przed lewą ruiną, którą zaczyna podciągać powoli w górę, układając cegłę na cegle.

ZAPOWIADACZ: Widzicie więc, co tu się dzieje. Ten człowiek układa cegłę na cegle, tamci zaś... *(idzie w ich stronę)*. Co właściwie porabiacie tutaj moi panowie?

PIERWSZY: My?

DRUGI: Debatujemy.

TRZECI: Mówimy o budowie.

PIERWSZY: O przebudowie, powiedziałbym raczej.

DRUGI: O odbudowie. To najlepsze określenie.

ZAPOWIADACZ: Aha.

TRZECI: Odbudowa to niedobre słowo. Przedrostek *od* przypomina coś, co należało już wykreślić z pamięci.

PIERWSZY: Wybaczy pan, ale to *od* jest tu niepotrzebne. Broń Boże, niczego nie *od*budowujemy. Tworzymy coś zupełnie nowego. A więc raczej przebudowujemy. Jesteśmy radykalni!

TRZECI: Nie budujemy niczego od nowa. To, co *nowe*, nie może tu być miarą, rozstrzygającą słuszność naszych pojęć. *Nowe* dzieli obszary ducha ludzkiego. My po prostu budujemy i ta myśl, myśl o budowie, jednoczy nas wszystkich.

ZAPOWIADACZ: Każde sformułowanie, jak sądzę, ma pewien sens.

DRUGI: Każde sformułowanie ma swój sens? Ta indyferentna postawa to największa szkoda, jaką wyrządza się naszej odbudowie.

PIERWSZY: Przebudowie!

TRZECI: Budowie!

DRUGI: Sto razy milsza jest nam otwarcie wypowiedziana wrogość czy przeciwieństwo niż ta niewiążąca z niczym, mętna życzliwość dla każdego pojęcia.

ZAPOWIADACZ: Aha.

TRZECI: Mówi pan po prostu: aha. Więcej nie ma pan do powiedzenia tam, gdzie rozchodzi się o budowę Niemiec?

PIERWSZY: O przebudowę Niemiec?

DRUGI: O odbudowę Niemiec?

ZAPOWIADACZ: *(do publiczności)*: Trudni ludzie. *(Idzie do człowieka z lewej, który bez przerwy buduje dom, kładzie cegłę na cegle, o nic innego się nie troszcząc)* Co pan na to powie?

CZŁOWIEK Z LEWEJ: Nic *(buduje dalej)*.

PIERWSZY: O wiele za wcześnie dopuszczono do głosu partie polityczne.

DRUGI: Za późno chyba, to pan miał na myśli.

PIERWSZY: Myślę dokładnie to samo co wypowiadam. Proszę pana, by pan nie powątpiewał w to, co mówię.

TRZECI: Nie powinno się było w ogóle dopuścić do życia partii politycznych. Albo wszystkie albo żadnej. To byłoby prawdziwie po niemiecku.

PIERWSZY: Znany niemiecki obiektywizm, co? Ileż to on już nie napsuł w ciągu całej naszej historii. Jednego jednak nie powinien się tknąć, naszej przebudowy.

TRZECI: Budowy!

DRUGI: Odbudowy!

PIERWSZY: Kłótnie partyjne spowodowały, że nie udała się reforma rolna. Dawno już można ją było przeprowadzić we wszystkich czterech strefach.

DRUGI: Boże uchowaj!

TRZECI: Tego rodzaju zasadnicze pociągnięcie to sprawa parlamentu a parlamentów jeszcze nie mamy.[1])

PIERWSZY: Parlament? Teraz już? Parlament jedynie hamuje początkowy pęd w kierunku politycznej przemiany.

DRUGI: Pośpiech często okazuje się przedwczesny i nierozważny.

TRZECI: Kolejność jest całkiem jasna. Najpierw konstytucja. Potem parlament. A później reforma rolna.

ZAPOWIADACZ *(z uśmiechem)*: A więc bez reformy rolnej...

TRZECI: Niech pan sobie schowa swoje dowcipy. Przeszkadza pan jedynie przy budowie.

PIERWSZY: Przy przebudowie!

DRUGI: Przy odbudowie! Idzie o całość! O całe Niemcy. Ostrzegam jednak przed jednością wegetujących obok siebie pojedynczych państw.

TRZECI: Właśnie jedność w wielości! Przyszłość Niemiec leży w federaliźmie!

PIERWSZY: Co za fatalne słowo. Kto mówi: federalizm, ten po cichu myśli: separatyzm.

TRZECI: Niech pan sobie podobne kłamstwa zachowa na okres przedwyborczy!

PIERWSZY *(w gniewie)*: Panie!

DRUGI: Trzymajcie się moi panowie.

ZAPOWIADACZ *(do człowieka po lewej)*: I co pan na to?

CZŁOWIEK Z LEWEJ: Nic *(buduje dalej)*.

ZAPOWIADACZ *(zapytuje stojących po prawej, wskazując na człowieka z lewej)*: I co panowie na to?

PIERWSZY: Nieodpowiedzialny facet!

DRUGI: Element całkowicie aspołeczny.

TRZECI: Należy mu odebrać kartę rzemieślniczą.

PIERWSZY: My nie możemy sobie pozwolić na odpoczynek we dnie ani w nocy...

DRUGI: My łamiemy sobie rozum...

TRZECI: Naszym jedynym, najświętszym celem jest budowa...

DRUGI: Odbudowa...

PIERWSZY: Przebudowa...

DRUGI: Dyskutujemy...

TRZECI: Debatujemy...

PIERWSZY: Mówimy...

DRUGI *(coraz bardziej oburzony)*: A ten facet...

Dom po lewej został w tej chwili całkowicie odbudowany. Człowiek z lewej wchodzi do środka i nie zwracając uwagi na trzech dyskutantów wygląda zadowolony przez okno.

TRZECI: Ten facet...

Młoda kobieta przychodzi z lewej z niemowlęciem na rękach. Podaje dziecko do środka i wchodzi do domu.

PIERWSZY: Ten facet wygląda sobie spokojnie przez okno...

DRUGI: Gapi się...

TRZECI: I czuje się szczęśliwy. To skandal!

ZAPOWIADACZ *(do publiczności)*: Rozchodzi się tu, jak podano, o sztuczkę dydaktyczną. Toteż, by treść jej stała się całkiem jasna, muszę się jeszcze o coś zapytać moich trzech panów. Wybaczą panowie, ale człowiek ten przecież czegoś dokonał!

DRUGI: Cóż takiego?

ZAPOWIADACZ: Ależ kochany panie. Ten człowiek wybudował dom!

TRZECI: Rzeczywiście, dom wybudował. My dyskutujemy i dyskutujemy. O przyszłej budowie...

PIERWSZY: O przebudowie...

DRUGI: O odbudowie...

TRZECI: A ten głupi idiota, mały egoista po prostu — zaczyna!

ZAPOWIADACZ: Tak, ale czyż nie jest to rzecz najrozsądniejsza, jakiej dokonać może, będąc na swoim stanowisku, dla budowy, przebudowy czy odbudowy?

PIERWSZY: Czyżby naprawdę? *(wszyscy trzej śmieją się z pogardą)*

DRUGI: Nieokrzesany, krótkowzroczny smarkacz, ot co!

TRZECI: Nadto nie miał on w ogóle prawa zaczynać budowy!

PIERWSZY: Właśnie! Dokonał w dodatku przestępstwa z tytułu zakazu robót budowlanych.

DRUGI: Życie nie jest takie lekkie, jak on sobie myśli.

TRZECI: Coby to było, gdyby tak wszyscy sobie poczynali!

OBAJ POZOSTALI: Właśnie!

ZAPOWIADACZ *(do publiczności)*: Była to tylko maleńka sucha sztuczka dydaktyczna. Sztuki dydaktyczne wyszły już z mody. Pisywało się je kiedyś, by widz wyniósł z nich coś pożytecznego. Cóż za śmieszne były to czasy!

Erich Kaestner

Z niemieckiego przełożył
Jacek Brzym

JERZY SZANIAWSKI

Rys. Gwidon Miklaszewski

Opowiadania Profesora Tutki

Okno naprzeciw okna Profesora Tutki

Proszę panów, mówił Profesor Tutka, ponieważ sędzia opowiedział nam, jak drogo kosztuje teraz odmalowanie okien, przypomniało mi się pewne okno, na które niegdyś patrzałem. To co mam zamiar panom dzisiaj opowiedzieć, nie ma nic wspólnego z drożyzną, z farbą ani rze-

mieślnikiem — po prostu — słowo „okno" skojarzyło się w mym umyśle z pewnym wspomnieniem.

Mieszkanie moje znajdowało się na piętrze w wąskiej, staroświeckiej uliczce. Naprzeciw mego okna było tuż, o dziesięć kroków okno po drugiej stronie uliczki. Co wieczór, tęga, duża kobieta zapuszczała roletę, zapalała światło, a ja widziałem na tle tej zasłony tylko wielki cień, który poruszał się, znikał i znów się ukazywał. Ale kiedyś zobaczyłem cień drugi: cień mężczyzny. Mężczyzna był znacznie, może dwa razy mniejszy od kobiety. W pewnej chwili zobaczyłem, że dwa cienie zbliżyły się do siebie, złączyły — to pocałunek. I tak już powtarzało się co wieczór. Mało interesuje mnie cudza miłość; nie byłem wówczas już dzieckiem, więc widziałem, że mężczyzna i kobieta całują się od wieków i całować będą i w następnych wiekach; a więc wszystko to, powtarzam, nie było dla mnie ani zbyt ciekawe, ani nowe. Widziałem tam tylko zabawkę, groteskę, coś z teatru chińskich cieni.

Pewnego dnia, o zmierzchu, ktoś zapukał do mego pokoju i po chwili wszedł nieznajomy człowiek, mężczyzna chudy, wątły, nerwowy. Tę nerwowość, zresztą opanowaną, spostrzegłem od pierwszej chwili. Gdy spytałem „czym mogę służyć?" i poprosiłem, aby usiadł, zaczął mówić.

— Proszę pana. Zanim wyjaśnię, jaki cel ma moja wizyta, powiem, że znam pana z widzenia: widziałem, jak pan raz dawał jałmużnę żebrakowi; gdy panu dziękował, ukłonił mu się pan swoim melonikiem; a więc jest pan człokiekiem dobrym i uprzejmym.

— Może tak i było, powiedziałem, ale co to ma za związek...

— Jeszcze chwilę, wyjaśnię — mówił gość — poza tym jest pan człowiekiem już... przepraszam bardzo, ale na tym punkcie są niektórzy drażliwi — jest pan człowiekiem już... nie zbyt młodym i wiele pan pewno rozumie.

— Nie jestem na tym punkcie drażliwy... zapewne, nie jedno już zdołałem widzieć, zrozumieć i jak to mówią — „zrozumieć znaczy — wybaczyć".

— Właśnie. Więc wybaczy mi pan przede wszystkim, że tu nie proszony przyszedłem. To okno naprzeciwko, jest oknem mojej żony, która mnie... opuściła. Widział pan pewno nie raz tę kobietę.

— Rzeczywiście, widuję tam czasem jakąś panią, która mi przypomina kobiety Rubensa. To jest pańska żona?

— Rubensa, pan mówi? — spojrzał na mnie podejrzliwie, jakby chciał zbadać, czy to z mojej strony aprobata, czy złośliwość.

— Kocham tę kobietę i żyć bez niej nie mogę. Panie, niech mi pan pozwoli popatrzeć na nią z tego okna. Nie widząc jej przeżywam wprost niewypowiedziane katusze.

— Proszę pana, cóż?... owszem niech pan patrzy. Ale zdaje mi się, że to jest zła metoda: nie wiem, czy to pana uspokoi. Poza tym... może pan ujrzeć coś, co pana żywiej poruszy, albo wyprowadzi z równowagi.

— Chce mi pan powiedzieć, że zobaczę kochanka mojej żony? — Widział go pan! Wiem, wiem, że taki jest!

— Ależ, niech się pan uspokoi — mówiłem łagodnie. — Powołał się pan na mój wiek a więc doświadczenie, znajomość życia: więc powtarzam panu, obrał pan złą metodę. Metoda taka, aby kochaną a nie kochającą, widzieć, śledzić, podglądać to tylko w rezultacie bolesne rozdzieranie ran. Uważam, że powinien pan trzymać się z daleka od tej dzielnicy miasta, starać się nawet, o ile możliwe wyjechać stąd, na czas jakiś; jeżeli ma pan na biurku fotografię tej kobiety — niech pan lepiej włoży wizerunek głęboko do szuflady i nigdy nań nie patrzy; nawet jeżeli przechowuje pan jakieś przedmioty, których dotykała ta kobieta — niech je pan usunie.

— Najważniejszym przedmiotem, którego dotykała — odpowiedział — jestem ja sam: jak się mam usunąć? Radzi pan, bym się zabił?

— Ach! odpowiedziałem. Nikomu nigdy tego nie doradzam. Pozwoli pan, że zapytam: czym się pan zajmuje?

— Jestem urzędnikiem w magistracie.

— Pięknie. Pracuje pan dla ogółu mieszkańców. Nie weźmie nikt panu za złe, że chce pan parę chwil poświęcić szczęściu czysto osobistemu. Ale czy tym szczęściem ma być jedynie kobieta? Znam wielu, którzy po zawodowej pracy nie spędzają czasu tylko przy kobiecie. Naprzykład biorą do rąk mandolinę.

— Nie lubię mandoliny!

— To tylko przykład... Są tacy, co wyszukują błędów drukarskich i „gaff" w gazetach i bardzo ich to cieszy. Znałem znów człowieka nieszczęśliwego w małżeństwie, który pomimo starszego wieku, postanowił kształcić się dalej. A jednego znałem, gdy go porzuciła żona, zaczął hodować lewkonie. Doszedł do pięknych rezultatów. Czy nie interesują pana lewkonie?

Nie wiem dlaczego, ale słowa moje gościa drażniły. Widziałem to i przestałem mówić.

Odpowiedział mi jednak grzecznie:

— Podaje mi pan przykłady i rady cenne, teoretycznie nawet dobre, ale...

— Profesorskie? dopowiedziałem.

— Tak.

— Ha, w takim razie niech pan tu siedzi i patrzy. A w myśli dodałem — i głowy mi nie zawraca, bo mam pilną robotę.

Gość mój siedział, patrząc w okno, a ja przechyliłem się nad biurkiem i opuściłem wzrok na swoją pracę. Gdy w pewnej chwili zerknąłem na siedzącego, zobaczyłem, że twarz mu się zmieniła, jakby z gniewu, czy cierpienia. „Aha, pomyślałem, ujrzał cień rywala" i znów opuściłem oczy na leżący przede mną papier. Nagle — zerwałem się z miejsca! Człowiek ten wprost sypał kulami z rewolweru w cienie na rolecie.

— I zabił? spytał po chwili jeden z panów.

— Nie miałem na celu — mówił Profesor Tutka — opowiedzenia jeszcze jednej historii kończącej się rewolwerem. Tematem moim było dzisiaj okno. Temat podsunął mi pan sędzia, który musiał zapłacić dużo za odmalowanie. Dla mnie okno, o którym opowiadałem, było groteską, zabawką; dla gościa mego — czymś bolesnym, dramatycznym. Okno to samo. Potem zamieszkali tam inni ludzie, zdaje się szczęśliwi, w oknie były kwiaty i bawiły się za nimi dzieci. Ktoś, kto mnie odwiedził, powiedział z uśmiechem: „jakie miłe okno". Dla mnie teraz okno, w którym stały kwiaty, a z za kwiatów wyglądały dzieci, było wciąż nawiedzane przez trzy zabawne postacie, z jakiegoś teatru chińskich cieni, które w jednej pamiętnej chwili nabrały wstrząsającej, dramatycznej treści.

Profesor Tutka miał wykład
w szkole handlowej

Mówiono o „wartości". Profesor Tutka zamyślił się i powiedział:

— Słowo „wartość" przypomniało mi mój wykład w wyższej szkole handlowej. Dyrektor tej szkoły, ekonomista, nie mógł raz mieć lekcji a chcąc, żeby słuchacze nie stracili godziny, skorzystał z mej obecności w szkole i poprosił, abym coś im opowiedział. Wspomniał tylko, że miewa teraz wykłady o „wartości".

Zjawienie się moje na katedrze — czułem, że było przyjęte z sympatią, bo chociaż to nie byli moi uczniowie, miałem opinię, iż wykłady moje nie bywają „suche". Ta sympatia młodych słuchaczów, pora w której odczuwało się wiosnę, zresztą już nie pamiętam jaka była jeszcze przyczyna — dość, że wszystko to nastroiło mnie, jakby lirycznie, trochę nawet sentymentalnie i może dlatego sięgnąłem do osobistych wspomnień. Zapowiedziałem, że to o czym będę mówił, nie ma może wiele wspólnego z dziedziną ekonomii, ale zupełnie od niej nie odbiega.

I tak mniej więcej mówiłem:

Działo się to w Alpach, w miejscowości położonej wysoko, oddalonej od ludnych szlaków turystycznych. Zamieszkałem w małym hoteliku. Usługiwała mi niezwykle sympatyczna, mająca wiele uroku dziewczyna. Widocznie, że i ja byłem sympatyczny i miałem w sobie wiele uroku, gdyż wkrótce bardzośmy się pokochali. Miłość ta była pogodna, słoneczna, jedyną chmurą, która czasem przesłaniała słońce — to świadomość, że się kochanie wkrótce skończy. Cóż?... „Turysta"... Odjedzie, powie, że na przyszły rok tutaj wróci, ale zwykle nie wraca. Napisze serdeczny list, później, w czasie jakichś uroczystych świąt, przypomni sobie znajomą i poszle jej barwną pocztówkę, przedstawiającą tańce z jego kraju i — na tym się zwykle kończy. Wiedziała o tym dobrze moja dziewczyna. Gdy po sześciu tygodniach nadszedł dzień, w którym trzeba było się pożegnać, przemiłe, kochane dziewczę przyniosło mi paczuszkę. Dziewczyna miała łzy w oczach, ale mówiła z leciutkim uśmiechem: „ to jest popielniczka, którą sama zrobiłam. Gdy pan będzie daleko u siebie i zapali papierosa, proszę strząsać popiół do tej popielniczki i... pomyśleć czasem o mnie".

Popielniczka, którą postawiłem później na swym biurku, to — dwa nałożone na siebie szklane spodki. Spodek dolny wyklejony był obrączkami z cygar. Wypalili te cygara goście hoteliku. W środku widziało się podobiznę

Franciszka Józefa, poza tym były głowy Indian, słonie, antylopy, palmy, monogramy, słowem to co się zwykle widuje na czerwonozłotych obrączkach cygar.

Pokój mój zaczęła coraz częściej odwiedzać przystojna, kulturalna pani. Zauważyłem raz, że się przygląda mojej popielniczce. Wiedziałem co myśli: „jak można trzymać na swym biurku rzecz taką tanią i brzydką". Ale nie mówiła ze mną na ten temat. Pani bowiem miała opinię kobiety „subtelnej" i starała się zawsze tę opinię utrzymać.

Pewnego wieczoru przyniosła mi w prezencie popielniczkę srebrną, misternej roboty. Znałem się na ładnych wyrobach i musiałem przyznać, że otrzymałem rzecz cenną.

Po wyjściu pani, stały na mym biurku dwie popielniczki. Tania i droga.

Bajkopisarze, poeci, dzieci umieją ożywić często przedmioty martwe, dając im cechy istot żywych, nawet mogą podsłuchać ich mowę, podobną do ludzkiej. Ja wprawdzie nie słyszałem co mówią do siebie popielniczki, ale czułem, że nie mają ku sobie sympatii, że stać razem nie mogą. Tę nową, srebrną włożyłem po wyjściu pani do szuflady, a pozostałem przy dawnej. Strąciłem popiół z papierosa i wyraźniej niż w inne dni, ujrzałem postać kochanej dziewczyny. Byłem dla niej czulszy i cicho powiedziałem jej imię. Wszystko to pięknie — pomyślałem, ale co zrobić z popielniczką, gdy przyjdzie znów do mnie pani, ta bądź co bądź, bardziej realna? Postanowiłem, że gdy będę spodziewał się jej wizyty — wyjmę z szuflady popielniczkę srebrną, a schowam tę szklaną. Tak też zrobiłem parę razy. Ale pani przyszła kiedyś niespodzianie. Na biurku mym zobaczyła skromną, szklaną popielniczkę. Co robić? Jak to wytłumaczyć? Było mi nieswojo. Pani nie pytała, gdyż, jak wiadomo, uchodziła za kobietę subtelną. Spostrzegłem jednak, że zwróciła na popielniczkę uwagę. Nawet po twarzy jej przemknął uśmiech ledwie dostrzegalny, ale zdecydowanie złośliwy. Nie czuliśmy się dobrze. Zrodził się między nami, jakby zalążek niechęci, zrodziło się przeczucie poważniejszych w przyszłości nieporozumień. Przeczucie zresztą nie myliło.

Ale wracam do popielniczki: proszę panów — mówiłem — „popielniczka"... „rzecz drobna", „rzecz błaha", „rzecz ładna, rzecz brzydka"; „rzecz tania, rzecz droga". Te wszystkie określenia nie zawsze są pełne, doskonałe. Całej prawdy, a w tym i prawdy o wartości popielniczki nie dają.

Profesor Tutka znał człowieka „głębokiego"

Rejent powiedział o jakimś artyście, że to artysta — głęboki.

Profesor Tutka podchwycił słowo — „głęboki".

— Znałem, mówił Profesor Tutka, człowieka o wyglądzie bardzo okazałym. Człowiek ten dekorował swą postacią pięknie stół prezydialny, salę teatralną, podczas antraktu na premierze, lub ucztę gdy był na nią zaproszony. Cieszył się szacunkiem, gdyż był to człowiek przyzwoity, światły, poważny. Znał się na wielu rzeczach, gdyż jak powiedziałem, był to człowiek światły. Słyszało się często, że to „umysł krytyczny". Bo często słuchano z powagą, jak krytykuje.

W zaraniu swej kariery życiowej wpadł na doskonały, chociaż niezbyt oryginalny dowcip: mianowicie zarzucać prawie zawsze brak głębi. Metoda taka nie wzbudza śród słuchaczów sprzeciwu: głąb to jest coś nieokreślonego; trudno się sprzeczać. Metoda taka — oparta jest niewątpliwie na dość prostej znajomości psychologii: wygłoszenie, że komuś brak głębi, wywołuje w słuchaczu wrażenie, że ten co brak jej zarzuca, jest człowiekiem głębokim. Tak też było z owym okazałym panem: pozyskał opinię — głębokiego.

Człowiek ten nazywany głębokim — dożył do późnej starości. O starości mówią, że jest nieubłagana. Rzadziej ktoś zauważy, iż starość bywa kapryśna, figlarna, złośliwa. Nie wiadomo dlaczego atakuje czasem tylko kawałek człowieka a wszystko inne zostawia w porządku; dobierze się do nóg, a głowę pozostawia przytomną a nawet mądrzejszą niż przed laty, to znów atakuje właśnie głowę, a resztę ciała zachowuje w czerstwości. Człowiekowi o którym mowa, starość zaczęła atakować głowę — pozostawiając

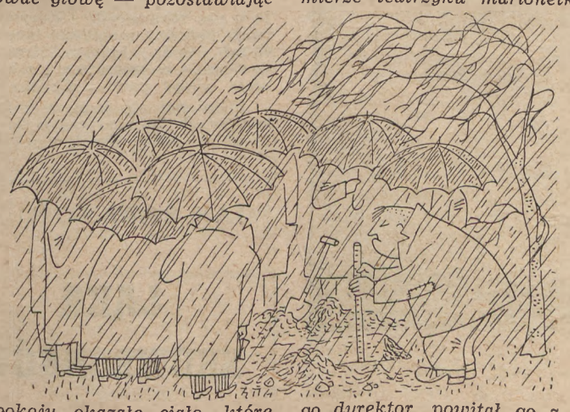

w spokoju okazałe ciało, które mogło jeszcze poprowadzić poloneza na balu reprezentacyjnym, lub pięknie pomachać dzwonkiem, gdy było zaproszone do prezydialnego stołu.

Z mową już nie działo się najlepiej: coś tam się nie kojarzyło, coś, zamiast skupiać — rozpraszało. Zaćmienie nadchodziło szybko, w tej głowie, pozostało tylko zdanie — „w tym nie ma głębi", pozostał konik, na którym pan jeździł przez całe życie, gdy reszta pokaźnej stajni zniszczyła się, czy rozbiegła po świecie. Nie dyskutowano z nim, gdyż nie dosłyszał i prawie niczego o czym mówią nie rozumiał. Ale jeszcze piękna— hetmańska jego postać i dość sławna przeszłość robiły swoje: gdy zjawił się raz na premierze teatrzyku marionetkowego dyrektor powitał go z wielkim szacunkiem i zapytał później o zdanie jak mu się przedstawienie podobało. Odpowiedział — „piękne, ale nie ma w tym głębi". Dyrektor odpowiedział z wielkim szacunkiem, iż sam to rozumie, ale jest nadzieja, że jeszcze w tym miesiącu uda mu się pogłębić scenę o trzy metry. Ale pan nie wiedział czy ma to być ironia czy nieporozumienie.

Spotkałem tego człowieka — mówił Profesor Tutka — na wystawie obrazów: poznał mnie nawet i uprzejmie powitał. Staliśmy przed płótnem malarza z dziewiętnastego wieku, przedstawiającym pejzaż wiejski i kobiety w barwnych strojach, które powracając z targu rozzuły się i zakasawszy kiecki przechodziły wbród rzeczkę.

„Niech co chcą mówią młodzi malarze, powiedziałem, ale umiał on malować".

„Tak, odpowiedział mi sędziwy pan, ale nie ma w tym głębi".

„Gdyby w tym była głębia, zauważyłem, kobiety utonęłyby w rzeczce"'.

Ale on już tego nie słyszał.

Po jakimś czasie, dowiedziałem się, że ów człowiek umarł. Zmartwiłem się nawet, bo człowiek porządny, światły i głęboki. Postanowiłem odprowadzić zmarłego na cmentarz. Jesień, deszcz padał ze śniegiem, osób bardzo mało, bo nie zajmował już żadnego stanowiska, zubożał i nie miał rodziny, której należało wyrazić współczucie. Na cmentarzu, w dzielnicy niezamożnych, kończono kopać grób. Zjawił się jakiś urzędnik cmentarny i zmierzył głębokość grobu długim kijem z podziałką. Nie było odpowiedniej głębi: kazał kopać dalej. Spojrzeliśmy, goście żałobni, na siebie porozumiewawczo. A nawet uśmiechnęliśmy się... Nie trzeba dodawać, że wszyscy byli to ludzie dobrze wychowani — więc uśmiech nasz był dyskretny i smutny.

JERZY SZANIAWSKI.

ANNA KOWALSKA

Rys. Janina Cugowska

LIST MIŁOSNY

Wspomnienie

Bazylowa była chora, matka więc sama szorowała kuchnię i robiła wielkie sobotnie porządki. Coraz to wypadała na podwórze z wiadrem, przepierała ścierkę, toczyła wodę ze studni aż szumiało na całe podwórze i biegła do domu z przelewającym się wiadrem; zawsze jej było za mało wody. Przez otwarte okna kuchni słychać było potem suwanie stołków, dzwonienie szkła.

Ignac bawił się w altanie z Edziem Gilewskim w pogrzeb. Właśnie przebrany w matczyną matinkę wychodził z altany śpiewając na całe gardło: aament. Za nim kroczy. Edzio z pudełkiem od

perfum, w którym spoczywały zwłoki pisklęcia. Gdy wreszcie ucichli, słychać było tylko trzeszczenie gałęzi; zrywali niedojrzałe czereśnie.

Ogród graniczył z cmentarzem. Nieopodal wznosiły się drewniane domki pomalowane na brzydki brązowy kolor. W jednym mieszkał grabarz, w dwu innych mieścił się szpitalik zakaźny dla dzieci. Prawie co dzień o trzeciej słychać było dzwon cmentarny i mała grupka ludzi szła pod górę za białą trumną; kobiety w czarnych szatach, zgięte jak pod brzemieniem, mężczyźni sztywni jak porażeni. Matka mijała szpitalik przyśpieszonym krokiem i przyciskała rękę do piersi, ale brat wdrapywał się na jarzębinę: lubił pogrzeby.

Pełłam marchew, ale coraz to przerywałam robotę i nieruchoma wpatrywałam się w żabę, która wyskoczywszy z grządki truskawek sadziła w stronę agrestowej gęstwiny, albo w ślimaka wcale nie ślimaczym ruchem sunącego po ścieżce. Jaskółki z piskiem krążyły nad domem, czasem bocian ciężko przelatywał łopocąc skrzydłami nad ogrodem w stronę łąki Rudego.

Przez cały czas nie zapominałam o Wysockim. Wypił swoją szklanicę koziego mleka, które mu Gilewska przyniosła, ale nie odchodził. Rozparł się na ławce jak człowiek, który wygodnie chce spędzić dłuższy czas na przyglądaniu się pięknej okolicy. Tuż nad jego głową zwisały kiście białego bzu; uśmiechał się do nich, to stulał usta jakby chciał przesłać kwiatom pocałunek; przymykał oczy, jak stara panna Michalina, kiedy się modliła. Wystrojony był, jak na niedzielę, w tabaczkowy kraciasty surdut. Chuda szyja sterczała w wysokim, zbyt luźnym kołnierzu śnieżnej białości. Twarz mieniła się zielonkawo-żółtym kolorem; kozie mleko niewiele przysparzało mu rumieńców.

Wysocki był kancelistą w cegielni. Zarabiał mało, ale miał domek. Dwa pokoiki z kuchnią. Ale

nawet mały domek jest domkiem. Na klombiku obłożonym cegłami rósł krzak róży, chudawy, jakby i on chorował na suchoty, ale zato kijek, do którego róża była przywiązana, zakończony był wielką szklaną kulą, w której odbijał się każdy przechodzień, każdy wóz.

Wysocki kochał się na zabój, jak mówili wszyscy, w pannie Idzie, nauczycielce. Miał lat dwadzieścia trzy, a panna Ida dwadzieścia dziewięć. Ojciec, który słaby był w rachunkach, mówił: dwadzieścia dziewięć, to już trzydziestka.

Za każdym razem, kiedy matka ukazywała się z wiadrem brudnej wody, Wysocki zrywał się z ławki i podbiegał w tanecznych podskokach, jakgdyby chciał wziąć wiadro z rąk matki. Matka krzyczała: „Panie Wysocki, niech pan ucieka, jeszcze się pan pochlapie." I Wysocki cofał się aż upadał na ławkę. W domu, oprócz starego kanarka o zreumatyzowanych nogach, nie miał nikogo. Stary kanarek to niewielka pociecha, wolał więc już Wysocki patrzeć, jak matka nosiła wodę i sprzątała kuchnię.

Powoli zapadała cichość przedwieczorna, przerywana tylko piskiem jaskółek. Wreszcie matka pojawiła się umyta, uczesana, w świeżej sukience; szła z koszykiem ścinać sałatę. Tej wiosny jedliśmy co wieczór sałatę, a ojciec co wieczór mówił, że przydałby się do niej befsztyk. Wysocki podszedł do matki, zgiął się w ukłonie, jakby się dopiero z nią witał, i przycisnął kapelusz do piersi. Bardzo ładnie wyglądał

w tej chwili. Prosił, aby matka napisała mu list: parę zdań tylko, ale takich, jak to dobrodziejka potrafi, ze serca — tu znowu gwałtownie przycisnął kapelusz do piersi. Matka powiedziała mu, że już późno, że musi kolację szykować i dzieci myć. Wysocki spuścił głowę. Zlękłam się, że uklęknie na środku podwórza. Ale nie ukląkł, tylko wyciągnął chustkę i przetarł czoło, spocił się ze wzruszenia.

— Błagam parę zdań. Przecież napisała pani Handkemu...

— Tak, mają już dziecko, ślicznego chłopaczka — rzekła matka z roztargnieniem.

Wysocki zatrzepotał rękami, wionął chustką i kapeluszem. Nie myślał o dziecku, ale o pannie Idzie.

— Nie powinna się obawiać, będę długo żył, jestem coraz silniejszy...

Matka spojrzała na Wysockiego takim wzrokiem, jakim patrzyła wieczorem na Ignaca, gdy na widok miednicy i mydła twierdził, że ma czyste ręce. — No cóż? Napiszmy, tylko prędko. — Postawiła koszyk na ławce i poszła do domu po papier i ołówek. Nie prosiła nigdy Wysockiego do mieszkania, bała się suchot.

Gilewska zjawiła się na podwórzu, niby po szklankę. Nie lubiła matki i patrzyła na Wysockiego mrużąc oczy. Ze szklanką w ręce stała i słuchała. A było co słuchać. Panna Ida porównana została do wschodu słońca, do gwiazdy nadziei. Była mowa o sercu pękniętym, o grobie zimnym, o płomieniach, o porozumieniu dusz.

Wysocki jąkając się zapytał, czyby nie należało wspomnieć o domku i o krzaku róży, ale matka odradziła, zepsułoby to nastrój całości. Jak ma być list miłosny, to już nie o domku.

Ojciec wrócił z miasta i gniewnie podkręcał wąsa, ale matka podała mu koszyk i powiedziała krótko, zetnij cztery główki sałaty, ale uważaj, żeby były twarde.

— Co za piękny majowy wieczór — westchnął Wysocki dźwigając się z ławki.

Matka krzyknęła: nietoperz przeleciał jej nad głową. — No dowidzenia, panie Wysocki — rzekła niecierpliwie. — Dzieci, marsz do domu.

Ignac siedział już w kuchni cichy i smutny: do spółki z Edziem objedli czereśnie.

Tego wieczoru późno zjedliśmy kolację. Matka była roztargniona i milcząca. Zgadywałam, że w myśli powtarza zdania z listu, że jednymi się cieszy, inne zaś wolałaby zmienić. Szorowanie pleców trwało krócej niż zwykle; tyle zyskaliśmy na wiosennych afektach pana kancelisty.

W dwa dni później zjawiła się panna Ida, jeszcze bardziej ururkowana i upudrowana niż zawsze. Wstążki, riuszki, falbanki, kwiaty, świecidełka szumiały, szeleściły, lśniły. Cała była piękna, ale najpiękniejszy był kapelusz: ogromny z białej słomki, podbity niezapominajkami; z tyłu zwisały jakieś niebieskie tiulowe szarfy. Ojciec mruknął: czupiradło — i wyszedł na miasto.

Panna Ida wyciągnęła z torebki różowy list i podała go matce, sama zaś splótłszy ręce pod brodą wpatrywała się w lustro rozmarzonymi oczami.

— Piękny list — odrzekła matka po chwili z przekonaniem.

— Ah, czemuż to nie od dyrektora — westchnęła panna Ida i popatrzyła boleśnie na matkę.

— Dyrektor ma żonę i dzieci — usłyszała. — Zresztą, nie musi pani wychodzić za mąż.

Ale panna Ida bardzo chciała vjść za mąż. Mieszkała z macochą w jednym pokoiku. A macocha nie porównywała jej do wschodu słońca.

— I zawsze domek z różami — zastanawiała się matka.

— Jedna róża i ma mszyce.

— To ją pani spryska roztworem z szarego mydła.

Daleko jest od szarego mydła do miłości, ale panna Ida bała się samotnych lat.

— Więc pani myśli, że powinnam — zapytała już innym, trzeźwiejszym głosem.

— Musi go pani leczyć, dbać o niego. Czy ja wiem zresztą? Niech się pani zastanowi.

Ale panna Ida nie chciała się już dłużej zastanawiać, pragnęła tylko, aby jej dodano otuchy, aby jej pozwolono odegrać piękną rolę. — Poświęcę się — zadecydowała z radością.

Gdyby ją Wysocki był w tej chwili ujrzał, nazwałby ją jutrzenką nadziei, taka była różowa, promienna, pełna lśnień i migotliwych blasków.

Anna Kowalska.

AUTORZY WROCŁAWSCY
PISZĄ KOMEDIE

Wielka epopea zagospodarowania i zrepolonizowania Ziem Odzyskanych, odbudowa Wrocławia, nie znalazły jeszcze odpowiedniego oddźwięku w naszej literaturze. Wrocław zajmuje dość skromne pozycje literackie. Wyszły drukiem powieść Pytlakowskiego „Fundamenty", której tematem jest odbudowa Państwowej Fabryki Wagonów oraz powieść o Wrocławiu Anny Kowalskiej „Ulica Klasztorna". Mają w rękopisach przygotowane do druku powieści o tematyce wrocławskiej Stefan Łoś i Jan Pierzchała.

Ostatnio jednak pisarze wrocławscy zajęli się sceną. Oto powstała dość niezwykła „spółka autorska" powieściopisarza Stanisława Dygata i krytyka literackiego Jana Kotta. Napisali oni nowoczesnego, nadodrzańskiego „Tartuffe'a a wszystkie postacie molierowskie otrzymały przydziały na wille, meble z OUL, posady dyrektorskie oraz majstrów MZK we Wrocławiu.

Uwspółcześniony Molier pokazany będzie publiczności wrocławskiej na prapremierze w połowie stycznia. Już dziś jednak w mieście wrze. Rozeszły się bowiem wieści, że na scenie ujrzymy wielu naszych... znajomych „świętoszków".

— Udało mi się „unieszkodliwić" najgroźniejszego, najbardziej złośliwego, ciętego i wymagającego krytyka — mówi nam Stanisław Kott — przez wciągnięcie go do spółki autorskiej.

Komedia — zdaniem ich autorów — jest bardzo wesoła, dowcipna, cięta. Gdym się zapoznał z jej treścią, musiałem im przyznać rację i dodać, że za mało jeszcze powiedzieli. To jest przede wszystkim komedia pożyteczna. To jest sztuka mająca duże walory społeczne, polityczne, ideologiczne.

Gdyby takiej sztuki jeszcze nie było, trzeba by ją było napisać. A ponieważ napisali ją tak świetni autorzy jak Dygat i Kott — przeto na razie nie pokuszę się o poruszenie tego tematu.

A temat jest wspaniały. Bo czyż nie spotykamy się w naszym obecnym życiu z owymi nadgorliwcami „neo-świętoszkami", karierowiczami, podskakiwaczami, „hurra-lewicowcami", którzy mają usta pełne frazesów a nie spełniają pożytecznej funkcji społecznej. O tych „świętoszkach", którzy modlą się do nowej rzeczywistości a diabła reakcji mają pod skórą — można i trzeba napisać było komedię.

Niechaj owi świętoszkowie zobaczą się na scenie, niech przejrzą się w tym zwierciadle artystycznym, które ukaże ich całą szkodliwość i nicość ideową.

Sztuka „Świętoszek" chłoszcze nieprzezwyciężone jeszcze u nas wady społeczne jak biurokratyzm, służalstwo, krętactwo, mętniactwo ideowe. Autorzy śmiało i odważnie demaskują „pseudo-świętych".

Nie jest to jednak jak u Giraudoux, który również unowocześniał stare sztuki, chęć ukazania wieczności i konieczności konfliktów, nie jest to chęć ukazania bezsensu życia. Przeciwnie, autorzy przez przeciwstawienie Tartuffom świata ludzi młodych, pozytywnych, rzeczowych ukazali, że życie ma pełny sens, że konflikty są zmienne. Podkreślili właśnie historyczność tych konfliktów.

Oto nowy Świętoszek zdołał zawojować nowego Orgona, który zajął stanowisko dyrektora... tramwajów miejskich we Wrocławiu. Wyłudził od niego wspaniałą willę (zapewne na Karłowicach), luksusowo umeblowaną. Świętoszek żyje sobie wygodnie a nieszczęsny Orgon bojaźliwy, lękający się własnego cienia, nie potrafi się, na skutek złego wpływu swego prześladowcy, wywiązać z planowanych zadań produkcyjnych. Zaplanowana nowa linia tramwajowa (przypomnijmy, że Wrocław żyje dziś w gorączce budowania coraz to nowych i coraz to dalszych linii tramwajowych) pozostaje pod znakiem zapytania. Dyrektorowi grozi katastrofa.

Lecz działają młodzi. Jest córka Marianna, studentka polonistyki, jest Walery, majster warsztatów tramwajowych. Mają oni za sobą poparcie ZAMP. Stają do walki ze Świętoszkiem — i zwyciężają. Ich pozytywny czyn krzyżuje intrygi i gmatwa plany Tartuffe'a, który, zdemaskowany wreszcie, znajduje zasłużoną karę, a w ostatnim piątym akcie młodzież z takim przejęciem buduje nową linię tramwajową, że publiczność napewno zerwie się z miejsca i będzie chciała jej pomóc, by budowę zakończyć przed terminem.

— Sztukę pisaliśmy przez 6 miesięcy w Jeleniej Górze — mówi Jan Kott.

— W czasie rozmów z Kottem — dodaje Dygat — powstał też pomysł mojej nowej powieści.

Jak się dalej dowiadujemy, „Nowy Świętoszek" ukaże się niebawem na półkach księgarskich, wydany nakładem Spółdzielni Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Komedia jest też już tłumaczona na język węgierski i czeski.

Tak więc w najbliższym czasie wrocławski sezon teatralny wzbogaci się o nową interesującą pozycję.

Drugą komedią pióra wrocławskiego autora jest sztuka „Pan Siewierski udaje się do nieba" Jerzego Waldena. Jest to komedia osnuta na tle wydarzeń na Lubelszczyźnie w roku 1938. Jest to satyra na zacofanie, ciemnotę i kołtuństwo drobnomieszczaństwa. Autor ukazał w krzywym zwierciadle satyry środowisko małomiasteczkowe, zabobonne i zdemoralizowane.

Niewątpliwie prapremiery obu sztuk wrocławskich autorów, poruszające aktualną problematykę, (gdyż jak wiemy, do dnia dzisiejszego zabobon i ciemnota nie całkowicie jeszcze zostały wyplenione na Lubelszczyźnie), będą o dużej wadze wydarzeniami sezonu teatralnego.

ZBIGNIEW GROTOWSKI.

FRANCISZEK GERMAN

W ROKU MICKIEWICZOWSKIM

Wajdelota, Wojski, Jankiel

O muzycznych zainteresowaniach Mickiewicza

Do większych utworów Mickiewicza, w których muzyka i pieśń pełnią ważną funkcję, należy również „Konrad Wallenrod".

Na początku drugiej części tego utworu kapituła, przed obiorem Konrada na wielkiego mistrza, śpiewa *Hymn do Ducha Św.* Po skończonych modłach arcykomtur wraz z Halbanem i „celniejszymi braćmi" wymyka się na naradę nad brzeg jeziora. Z daleka dochodzi ich głos pustelnicy, zamkniętej w narożnej wieży, która oznajmia Konradowi: „Ty masz być mistrzem". Uradowani tą zapowiedzią rycerze, wracają do zamku. Pozostaje tylko Halban i przed wyruszeniem w powrotną drogę „cichemi tony" nuci piosenkę: *„Wilija, naszych strumieni rodzica..."* Tymczasem w zamku odbywają się ceremonie obioru wielkiego mistrza. Po ich zakończeniu, Konrad znika. Szukają go wszędzie. On zaś, jak zwykle o tej porze, „klęczący, przyparty do muru", słucha pieśni Aldony z wieży: *„Któż me westchnienia, kto me łzy policzy"*.

Pieśń Konrada

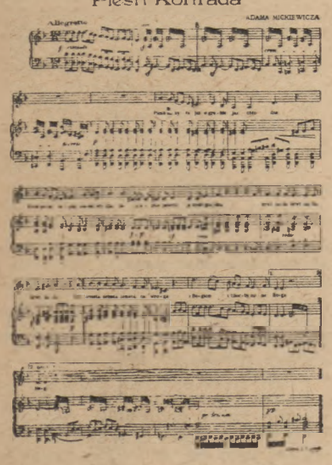

Aldona, jak to już dawno zauważono, to nikt inny, tylko Maryla. „W Konradzie Wallenrodzie piosenka jest motywem przewodnim, charakteryzującym portret Maryli. Pieśń o Wilii, ludowa w tonie, chociaż ustylizowana sentymentalnie obcą Litwie dekoracją tulipanów i narcyzów, symbolizuje jej życie. „Pieśń z wieży" jest jej charakterystykę własną. Motyw piosnki ludowej o ptakach, co ze skrzydeł swych darowują po piórku — wyraz daje tęsknotom. Piosenek ojczystych pragnie przy końcu życia i po skonaniu. A gdy skonała, poeta mówi:

Taka pieśń moja o Aldony losach:
Niechaj ją anioł harmonii
w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swej
dośpiewa.

Pierwsze wydanie jeszcze silniej brzmiało w tych wierszach motywem pieśni; to nie anioł harmonii miał ją dośpiewać, lecz anioł muzyki.

Konradowi, odbicie Mickiewicza, co tak muzycznie kształtował swe twory, towarzyszą dwie pieśni: potężna pieśń Halbana i sentymentalna, smętna piosnka Aldony.[1])

W czasie uczty na zamku, Konrad upomina się o śpiew *„barda lub menestrela"* (zawodowych śpiewaków).

Wprawdzie:

Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli
winem.

A gdy „różni śpiewacy powstali" i zaczęli opiewać „męstwo i pobożność" Konrada, ten oburzony woła: „innej chcę piosenki": „dzikiej i twardej, jak hałas rogów i oręża szczęki", „ponurej" i „ognistej". Na zapytanie Konrada, kto taką piosenkę zaśpiewa, „Ja" — odpowiedział sędziwy starzec. — „Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem." „Dziś samotny, śpiewać nie mam komu". „Ostatni w Litwie wajdelota", zachęcony gorącą prośbą Konrada, nuci przy akompaniamencie starej lutni pruskiej „ostatnią litewską piosenkę": *„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć..."*

„Pieśń Wajdeloty" jest elegią wyśpiewaną „na grobie narodów". Poeta, w słowach sprytnie wtrąconych w tekst utworu z obawy przed cenzurą, przyznaje „wieści gminnej" czyli pieśni taką siłę, która przy pomocy „broni archanioła", tj. miecza, może wypędzić wroga. Tylko „pieśń gminna", zdaniem poety, stanowi tak potężny czynnik, gdyż należy do całego narodu, a nie do pewnej tylko jego warstwy.

Płomień rozgryzie malowane
dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą
złodzieje —
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi
obiega...

Wajdelota, skończywszy swą pieśń, słucha czy mu Niemcy pozwolą śpiewać dalej. Do kontynuowania śpiewu zachęca go cisza, panująca na sali:

Zaczął więc piosnkę, ale innej
treści,
Bo głos na spadki wolniejszy
rozmierzał:
Po strunach słabiej i rzadziej
uderzał
I z hymnu zstąpił do prostej
powieści,

t. j. do „Powieść Wajdeloty".

Zdaniem Konrada, starzec nie zaśpiewał całej pieśni, a to z obawy przed odpowiedzialnością, gdyż „każda piosnka wajdeloty nieszczęście wróży". Konrad wyraża ochotę dokończenia pieśni, ale po namyśle decyduje się zaśpiewać inną pieśń.

Starcze, graj nutę, tę nutę,
dziecinną...
Na tę muzykę zwykłem zawsze
nucić.

Wajdelota „uderzył lutnię i głosem niepewnym szedł za dzikimi tonami Konrada". Konrad śpiewa balladę „Alpuhara", odznaczającą się „silnym piętnem muzycznym". Poeta kazał Konradowi śpiewać „pieśń—czyn, pieśń—pożar, pieśń—zniszczenie".[2])

W szóstej części utworu mamy przedstawioną tragiczną i beznadziejnie smutną scenę pożegnania Konrada z Aldoną. Konrad zostaje skazany na śmierć i wypija truciznę oraz namawia Halbana do wychylenia czary z zabójczym napojem. Ten jednak odmawia, gdyż chce głosić sławę czynu Konrada.

Obiegę Litwy wsi, zamki
i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja
doleci
. . . . . i kiedyś
w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel
moich kości!"

Na marginesie piosenki Halbana o Wilii i Litwince zauważa prof. Kleiner, że idzie ona wiernie „torem liryki ludowej". Piosenka ta „stworzy pieśń o Konradzie — i ona będzie „wieścią gminną"... Kształtując Halbana Mickiewicz uświadomił sobie istotę wieszczej poezji narodowej. Poezja „wieszczów" polskich zaczyna się pieśnią i poezją Wajdeloty i jej dopełnieniem w czynie Konrada".[3])

Ze wszystkich utworów Mickiewicza muzyka znalazła najwspanialsze odzwierciedlenie w „Panu Tadeuszu".

Wiemy, że poeta odznaczał się fenomenalną pamięcią i świetnie wyostrzonym zmysłem obserwacyjnym. Pamięć kolorystyczna Mickiewicza, ze względu na swoje bogactwo, zajmuje pierwsze miejsce w „Panu Tadeuszu". Obok niej poeta posiadał niezwykłą wrażliwość słuchową. *„Dzięki tej właściwości słuchu mógł Mickiewicz uchwycić najsubtelniejsze odcienie akustyczne, a zarazem umiał z niedoścignionym mistrzostwem ująć w słowa to, co jest w muzyce nieuchwytne, tj. niematerialność dźwięku".*[4])

Ilustracją tego niech będą niektóre fragmenty samego utworu. I tak: dzwon dworski „w każde południe krzyczący z poddasza" był „przykry dla uszu". Apercepcja słuchowa poety reaguje na wrażenia tego rodzaju jak zgrzyt i gwar, wypełniające życie codzienne. Hałas panujący na dworskim dziedzińcu przed wyruszeniem myśliwych na polowanie i sam przebieg polowania, czynią wielkie wrażenie. Natomiast z rana i wieczorem ucho poety staje się bardziej wrażliwe, niż w dzień i wyławia subtelne i harmonijne głosy przyrody. Hrabia chwyta uchem odległe echa polowania, myśliwi zaś w pewnych chwilach zamieniają się w słuch, by łatwiej pojąć „muzykę puszczy" lub jej wymowne milczenie. Przy opisie poranku poeta wywołuje przejmujący nastrój, typowy dla okolic litewskich.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę
zwyczajną
Jak dzień słotny ponurą, tęskną,
jednostajną,
Tym smutniejszą, że dźwięk jej
w mgłę bez echa wsiąka...
Ludzi we mgle nie widać, tylko
sierpy, kosy,
I pieśni brzmią, jak muzyk
niewidzialnych głosy.

Wrażliwość słuchowa poety osiąga swój punkt kulminacyjny w opisie „dziwnej muzyki wieczoru" w ks. VIII. Cała przyroda napełniona jest muzyką, jakby „harmonią sfer". Goście siedzący na dziedzińcu odczuwają ten muzyczny nastrój przyrody i wszechstworzenia. Subtelne *„ucho Zosi rozróżnia wśród tysiąca gwarów akord muszek i półton fałszywy komarów"*.

Oprócz owadów i ptaków „na finał" koncertu wieczornego

Odezwały się chórem podwójnym
dwa stawy...
Jak grające na przemian dwie
arfy Eola.

Hałaśliwa orkiestra podwodna, składająca się z żab, według uwagi poety gra tak pięknie jak żadna inna w świecie. „Takiego niedoścignionego poematu muzycznego w słowach — podkreśla z zachwytem prof. Reiss — nie ma żadna inna literatura... Żaden muzyk zawodowy nie słyszałby lepiej (od Zosi) i nie mógłby nic innego tam rozróżnić nad „fałszywe półtony" komarów! — W każdym głosie przyrody, w każdym dźwięku brzmi dla poety echo ziemi ojczystej oraz jaśnieje piękno jej muzyki.[5])

„Nastroje górne — dodaje prof. Kleiner — są jednak krótkotrwałe" w poemacie szlacheckim; więc jakby w przewidywaniu symfonii Ryszarda Straussa — po obrazie stawów — kochanków i blasków księżycowych strumienia, symfonia łagodnie prześlizguje się ku humorystyce muzycznej: mąci „miłosną rozmowę stawów" — bełkotaniem i hałasem „szczęk zębowatych" zirytowany młyn opiekun...

Natomiast w koncercie Wojskiego „słuchamy raczej muzyki programowej", działającej na nas „samym tylko malarstwem dźwiękowym, naśladowaniem głosów zwierzęcych, nawoływań strzelców i twardego głosu strzałów"; transpozycja zaś poetycka może działać bardziej bezpośrednio, skoro nie tyle naśladuje głosy rogu[6]), ile naśladowane przez róg głosy rzeczywistego polowania — i tylko zmusza do pamiętania, że róg jest pośrednikiem, że róg jest źródłem zmiennych, to wyższych, to niższych rozgłośnych tonów:

Myślałbyś, że róg kształty
zmieniał,
I że w ustach Wojskiego
to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt...

Ale poeta, któremu rzeczywiste głosy puszczy brzmiały muzyką, ponad to naśladownictwo dźwiękowe wznosi czyste piękno muzyczne koncertu i odczuć je daje, nim jeszcze zaznajomi z treścią łowiecką.

Róg jak wicher, niewstrzymanym
dechem
Niesie w puszczę muzykę
i podwaja echem.
Umilkli strzelce, stali szczwacze
zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną
harmonią pieni.

Odczucie muzyki czystej, nie „programowej", ma być ostatecznym oddźwiękiem — ona to brzmieć ma wielokrotnym echem. Wyzyskanie poezji echa to triumf artystyczny Mickiewicza w tej transpozycji utworu muzycznego, to zdobycz poetycka przykuwająca oryginalnością. Jeżeli gra Wojskiego jest sublimacją polowań, jej echo staje się sublimacją samego koncertu. Dwukrotnie podnosi ono wrażenia gry w ciągu jej pauz chwilowych, kiedy „wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało" — aż po skończeniu:

Ile drzew, tyle rogów znalazło
się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak
z choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza,
coraz dalsza.
Coraz cichsza i coraz czystsza,
doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś
na niebios progu.

Typowo programową muzykę mamy w trzecim koncercie „Pana Tadeusza", tj. głośnym koncercie Jankiela". Jest to wspaniały rapsod muzyczny.

„Zdumiewająca jest (w nim) ekspresyjna i sugestywna siła słów od pierwszej chwili, gdy „ze stron wiela buchnął dźwięk", aż do chwili, gdy muzyk „głosy zdusił, jakby „wbił do ziemi". Rzecz wprost niepojęta, jak Mickiewicz umiejętnym doborem słów wywołuje akustyczne wrażenia: rytmu, dynamiki i barw dźwiękowych. Słyszymy potężne fortissimo „janczarskiej kapeli" i słyszymy ledwo uchwytne pianissimo, „gdy kilka strunek jęczy" jakby brzęczenie much. I na odwrót: z rytmu muzyki wyrasta rytm słów i wiersza, to jego posuwista dostojność, to znowu niepokój i urywane tętno, zależnie od fluktuacji nastrojów".[7])

Na całość koncertu Jankiela składają się wypadki z historii polskiej, począwszy od Konstytucji Trzeciego Maja, poprzez Konfederację Targowicką,[8]) dalej rzeź Pragi (jęk dzieci, płacz matek) i niedolę żołnierza polskiego, pośród obcych ludów, aż do spodziewanego jego zwycięstwa. Popularne melodie „Poloneza Trzeciego Maja", utwór nieznanego kompozytora, stara pieśń „O żołnierzu tułaczu", bardzo bliska sercu poety i na koniec „znana piosenka" marsz tryumfalny „Jeszcze Polska nie zginęła" stanowią kościec koncertu.

Na temat koncertu Jankiela pisano u nas wiele. Wiemy, że Mickiewicz poznał w czasie pobytu w Petersburgu świetnego cymbalistę Jankiela Libermana i zachwycał się jego mistrzowską grą, a nawet wpisał mu się w księgę pamiątkową. Natomiast D. Wieluch w obszernej rozprawie („Najpiękniejszy pomnik Szopena „Marchołt" 1934, z. I.), poświęconej analizie koncertu Jankiela, stawia śmiałą hipotezę, że nie kto inny, tylko Chopin swoją genialną grą wpłynął na ukształtowanie rapsodu muzycznego Mickiewicza. O ile mi wiadomo, fachowcy

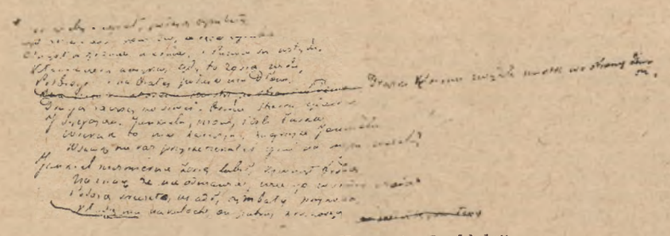

Facsimile fragmentu „Koncertu Jankiela"

nie wypowiedzieli się dotychczas, czy hipoteza Wielucha godna jest potwierdzenia. Dał on nawet zestawienie utworów muzycznych Fryderyka, które miały przyczynić się do muzycznego ukształtowania tej części ostatniej księgi „Pana Tadeusza".

W związku z hipotezą Wielucha, warto podkreślić, że niewątpliwie poznanie przez Mickiewicza utalentowanego cymbalisty w Rosji przyczyniło się w wielkim stopnu do napisania koncertu Jankiela. Niemniej przyjąć trzeba, że genialna muzyka twórcy poloneza AS-dur, z którym poeta spotykał się często w okresie pisania „Pana Tadeusza" i słuchał jego natchnionej gry, wywarła większy lub mniejszy wpływ na „muzyczność" arcydzieła naszego poety. Chopin bowiem (poza czystą muzyką) improwizował czasem na temat pieśni narodowych, m. in., dość często także na temat „Jeszcze Polska nie zginęła". Nie brak w tym kierunku świadectw przyjaciół Chopina, zwłaszcza obszernej relacji, zapisanej w pamiętniku J. B. Zaleskiego.

Wiemy również, że Mickiewicz posiadał wielką kulturę muzyczną, którą pogłębiał na przestrzeni wielu lat, m. in., w czasie słuchania koncertów muzycznych ulubionych przez niego geniuszów muzycznych: Haydna, Beethovena, Rossiniego i innych. Słusznie zauważył prof. Reiss, że koncepcja koncertu Jankiela „jako zapsodu muzycznego, zrodziła się w wyobraźni Mickiewicza prawdopodobnie pod wpływem modnych wówczas kompozycji batalistycznych, których tematyka opierała się na obrazach bitew; muzyka tych kompozycji starała się w sposób realistyczny odmalować wszystkie szczegóły walki: atak, wystrzały, popłoch i zgiełk bitwy i ostatecznie triumfalne fanfary zwycięstw". Warto też pamiętać o tym, że „źródłem tej koncepcji była (również) genialna intuicja poety".[9])

Pieśń była nieodłączną towarzyszką życia Mickiewicza. Repertuar najrozmaitszych pieśni religijnych starych i nowych, patriotycznych i okolicznościowych oraz ludowych polskich, litewskich, białoruskich i rosyjskich był u poety zasobny. Znalazły one godne miejsce w poszczególnych miejscach „Pana Tadeusza". Szlachta, zgromadzona w karczmie (ks. IV.) śpiewa ochoczo. Śpiewom jej „długo się przysłuchiwał ksiądz Robak".

W ks. VI. żniwiarki zaczęły przy pracy swą piosenkę zwyczajną. Kosiarze „pogwizdują piosenkę". Stary Maciek „chodził" po samotnym dworze nucąc piosenkę „Kiedy ranne wstają z rze" (ks. VI.), a w ks. XII. używa on zwrotu ze starej pieśni ludowej o Rusinach.

W ks. III. cytuje poeta pieśń o borowiku, której tekst zebrał Łopaciński. W XII, ks. mamy wzmiankę o Pieśni o panu Cybulskim (Z. Gloger — „Pieśni ludu"). W tejże samej księdze jest mowa o staropolskiej pieśni: „Idzie żołnierz borem, lasem" (również zanotowanej przez Glogera). Epilog „Pana Tadeusza" zawiera „Pieśń o dziewczynie, co tak grać lubiła" (z Wacława z Oleska) — „Zbiór pieśni polskich i ruskich ludu galicyjskiego"). W następnych dwóch wierszach wspomina Mickiewicz o „Pieśni o sierocie, co piękna jak zorze" (W. z Oleska — j. w.).

Kurantowy zegar gra w Soplicowie mazurka Dąbrowskiego. W zamku zaś Horeszków zepsuty zegar swoim zgrzytem powoduje kłótnię. W czasie uczty u Stolnika „na chorze kapela stała i w organ i w rozliczne instrumenty grała, a gdy wznoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym grzmiały z choru; wiwaty szły cięgiem porządnym". Gerwazy podaje ściśle porządek toastów (wiwatów) wznoszonych w takiej kolejności w dawnej Polsce. Po każdym toaście muzyka grała fanfarę. Według relacji Wojskiego w czasie uroczystości ku czci księcia jenerała ziem podolskich Pan Tyzenhaus tancerzy przysłał, a kapelę Ogiński i pan Sołtan. „Wojsko posiada „wyborną kapelę" i trębaczy wygrywających pobudkę kościuszkowską. W pokoju Zosi, która obdarzona jest słuchem muzykalnym i „nuci" przy ubieraniu sukienki, stoi „fortepian", w reprezentacyjnej zaś sali dworu wisi na ścianie gitara, na której zaczyna grać Rykow. W czasie zaręczyn Zosi, na życzenie Sędziego, przygrywa wiejska muzyka, złożona z cymbalisty, skrzypka i kobeźników. Zosia jest również inicjatorką „koncertu nad koncertami". Jankiel gra na cymbałach popularne i umiłowane przez słuchaczy melodie. „Polonez Trzeciego Maja" zachęca młodzież do tańca. „Brzmią zawsząd okrzyki... Wre taniec, brzmi muzyka".[10])

Na końcu „Pana Tadeusza" umieścił Mickiewicz w humorystycznym tonie utrzymany modny wówczas wówczas zwrot:

I ja tam z gośćmi byłem, miód
i wino piłem,
A com widział i słyszał,
w księgi umieściłem.

FRANCISZEK GERMAN

---

1), 2), 3) Kleiner — Mickiewicz t. II, cz. I.

6) Na koncepcję gry Wojskiego na rogu mogła podziałać muzyka rogów z opery Webera „Wolny Strzelec".

4), 5), 7), 9) Reiss — „Żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie". „Młoda Rzeczpospolita" nr 29, z 29. 12. 1946 r.

8) Według prof. Kleinera „szczytem pomysłowości cymbalisty jest przedstawienie Konfederacji Targowickiej przy pomocy samej tylko muzycznej ekspresji — przy pomocy strasznego, uporczywego dysonansu... Dysonans koncertu nad koncertami — kto wie czy nie zawdzięcza podniety w uwerturze „Don Juana": w jej Allegro ostre dysonansowe dis niezgodne z panującą tonacją D-dur maluje rozdźwięk między bohaterem a światem. Pęknięcie struny — to może znowu reminiscencja sztuki głośnego wówczas Paganiniego, co przy pęknięciu struny, nawet po pęknięciu dwu strun grać miał dalej na skrzypcach."

10) Już po napisaniu tego artykułu otrzymałem od P. Prof. Czesława Przystasia cenne materiały (dotyczące muzycznych zainteresowań Mickiewicza i nieznanej kompozycji poety,) za które składam Mu serdeczne podziękowanie. Niektóre z nich znałem jedynie z bibliografii, gdyż nie posiadała ich ani Biblioteka Śląska w Katowicach, ani Biblioteka Jagiellońska. Materiały te opracuję dodatkowo i ogłoszę w pracy: Mickiewicz w muzyce i pieśni, która niebawem ukaże się w druku. F. G.

(W artykule Franciszka Germana redakcja poczyniła drobne skróty. Zdjęcia i reprodukcje z teki autora.)

JAN KOPROWSKI

PEJZAŻE DOLNOŚLĄSKIE

I.

Las kominów podpiera niebo,
żeby z krzykiem nie runęło na ziemię.
Słońce jak przejrzysta ameba
przesuwa się w dolinach cieniem.
Wysoko wspiął się murarz
na komin — jak dzięcioł na drzewo.
Nad nim nieba przepastna góra,
pod nim — złota ziemi ulewa.
Z fabryk sypią się gwarni ludzie
jak zza węgla ludnej arterii.
Z dna gościńca — z dna starych studzien
echo kroków dudniąc się ścieli.
Idą młodzi smukli przodownicy,
roje dziewcząt kwitnące śmiechem
i wśród szumu dróg i uliczek
nasiąkają perłowym zmierzchem.

II.

Piersi pól wzruszone lemieszem
podnoszą się, rosną, dymią.
O zachodzie krowy się śpieszą
ze stągwiami ładownych wymion.
A za nimi statecznym krokiem
traktor bury podobny wołu.
Z ocienionych zielonych okien
patrzą dzieci — bucząc pszczoły.
Po sadzie broczy gospodarz
wśród jabłoni, grusz i wisien.
Ta ziemia ojczysta, młoda
nieustannie po nocach śni się.
Nawiedza cię ziemi tej zieleń,
bujne wzgórza, gaje cynobrowe.
I gdy zbudzisz się rankiem — śmielej
wchodzisz w życie sprawy ludowej.

BALZAKA BOHATER POZYTYWNY

Na łamach pism literackich, jak też podczas dyskusji literackich, często można spotkać się z życzeniami krytyki jak też czytelników pod adresem pisarzy, aby w utworach ich znalazły się postacie pozytywne, szlachetni bohaterowie. Jako przykład wskazuje się im literaturę rosyjską, która postulat ten zdołała już zrealizować. Potrzeba tego rodzaju bohaterów nie jest tylko potrzebą naszych czasów, warto przypomnieć, że już między innymi czyniono zarzut Balzakowi, że zazwyczaj w powieściach jego jest więcej cieni niż świateł a przewaga jest po stronie łajdaków, że umie malować tylko zepsucie i zbrodnię. Balzak pisze odpowiedź na ten zarzut. Jest nim wstęp do drugiego wydania Ojca Goriot. Odpowiedź jego jest pełna ironii ale poprzez tę ironię można odczuć, że zarzut zabolał go mocno. I zgodnie ze swym temperamentem czyni kreskę przez całą stronicę po czym po jednej stronie wylicza typy swych kobiet cnotliwych, po drugiej występnych. W ten sposób stwarza dość zabawny arytmetyczny dowód na to, że cnota nawet ilościowo przeważa u niego. Naturalnie rozważając to, trzeba mieć na uwadze, że rzadko które słowo jest tak elastyczne i zmienne, jak słowo cnota, że treść jego ulega zmianie w każdej epoce i że daleko by nas to zaprowadziło gdybyśmy chcieli definiować i porównywać co znaczyło w epoce Balzaka a co w naszej. Nie ulega jednak wątpliwości, że kapitalną uwagę samego Balzaka przy mamie Vaquer, że ta pod względem cnoty „jest wątpliwa", mielibyśmy sposobność powtórzyć i przy innych postaciach jego komedii ludzkiej.

A jednak wśród kilku tysięcy osób, które stworzył Balzak, nie mogło zabraknąć ludzi szlachetnych, wartościowych. Są nimi między innymi sędzia Popinot, pan d'Espard, lekarz Bianchon, kuzyn Pons, hr. Octaw, Eugenia Grandet, pani Firmiani, kurtyzana Estera. Tych kilka nazwisk nie rości sobie pretensji do nowego a tym mniej pełnego rejestru pozytywnych bohaterów Balzaka. Jest tylko marginesową uwagą przy lekturze „Kawalerskiego gospodarstwa" świeżo wznowionego przez wydawnictwo „Książka i Wiedza". Uwaga o tyle na miejscu, że właśnie w tej powieści występuje Józef Bridau, stawiany słusznie czy niesłusznie na pierwszym miejscu w balzakowskiej galerii typów pozytywnych. Niestety, chwyt Balzaka, polegający na tym, aby szlachetność Józefa wydobyć prawem kontrastu, przez zestawienie go ze złym bratem Filipem, nie okazał się chwytem szczęśliwym. Ponieważ ten Filip to jedna z najsilniejszych indywidualności w Komedii ludzkiej, postać jak słusznie zauważył Boy nakreślona rysami iście szekspirowskimi. W jego pobliżu zmaleli wszyscy inni. Stało się to napewno wbrew intencjom samego Balzaka (zdarza się, że pisarzowi jakaś postać przerasta nakreślone ramy, zaczyna żyć własnym, niezamierzonym przez autora życiem). Do tego dość śmiałego twierdzenia uprawnia nas to, że, jak wiadomo, pod osobą Józefa autor ukrył samego siebie, przetworzył pewien odcinek swych stosunków rodzinnych. Użyczył mu swych rysów twarzy (szkoda, że trochę tej brzdoty nie przeniósł i na jego charakter), wyzwolił się od istniejącego w nim od lat żalu do matki, która przeniosła nad niego więcej ujmującego brata, brata, który podobnie jak Filip przyniósł potem rodzinie wiele zgryzot, podczas gdy on był długo niedoceniany przez swych najbliższych. Zdawałoby się ten autobiografizm powinien ożywić i ubarwić postać pozytywnego bohatera, niestety tak nie jest. Można nawet powiedzieć dlaczego, głównie dlatego, że jest zamało pokazany w akcji, autor więcej o nim opowiada niż daje mu działać. Słowem nie udało się Balzakowi stworzyć w nim idealnego bohatera ale pamiętajmy, że i sam „Dante nieżrównany malarz piekła, załamał się na niebie". Drugim zarzutem jaki można by uczynić autorowi, „Kawalerskiego gospodarstwa" jest pewien brak proporcji w opisie losów bohaterów. Do czasu gdy Filip nie zdobył majątku Balzak zajmuje się nim bardzo dokładnie, to samo osobami od których ten majątek zależy (wuj, „Mąciwoda", co za kapitalne postacie!) a z chwilą gdy go pozyskał, zbywa ich dalsze losy nieprawdopodobnie szybko w słowie od wszystko wiedzącego autora, uśmiercając jedną osobę za drugą. Pomijając wszystkie inne zalety tej książki warto zwrócić jeszcze uwagę na pewne analogie pomiędzy czasami w których dzieje się akcja powieści z naszymi. Czyż nie istnieją u nas rozbitkowie z czasów okupacji podobni rozbitkom napoleońskim? Młodzi, którym uśmiechnęła się rola bohaterów a z zakończeniem wojny poczuli się bez celu.

„Filip stał się jednym z najwytrwalszych bonapartystów kawiarni Lemblin, istnej Beocji konstytucyjnej, nabrał tam zwyczajów, obejścia i stylu spensjonowanych oficerów i jakby na jego miejscu uczynił każdy dwudziestolatek, przesadził je, poprzysiągł serio śmiertelną nienawiść Burbonom, nie pogodził się z nową monarchią.

— Czemu nie stara się o miejsce? — rzekł stary Desroches — Tworzy się tyle prywatnych przedsiębiorstw. Ja sam wstąpię na naczelnika wydziału jakiego towarzystwa ubezpieczeń, skoro tylko kwestia mojej emerytury będzie uregulowana.

— Filip jest żołnierzem, kocha tylko wojnę — rzekła rycersko Agata.

— W takim razie, powinien być rozsądny i wrócić do służby.

— U nich? — krzyknęła wdowa — Och, tego z pewnością nie będę mu doradzała.

— Źle pani robi, Burboni wszystko zrobią dla tych, którzy szczerze pogodzą się z nimi. Syn zostałby jak nic podpułkownikiem w linii". albo,

— „Będę zawsze po stronie opozycji konstytucyjnej. Och! Foy! Och! Manuel! Och! Lafite. To mi ludzie. Wykurzą stąd tych nędzników, sprowadzonych pod bagnetem zagranicy".

Czyż nie wystarczy zmienić w tych cytatach pewnych słów, aby wziąć je za słowa nie tak znów dawno słyszane z ust pewnych naszych znajomych? Te smaczki, które potrafi wyczuć każdy czytający i prawdziwie sensacyjność fabuły czynią z „Kawalerskiego gospodarstwa" lekturę, która każdego, kto się z nią zapozna uczyni wielbicielem Balzaka.

WŁADYSŁAW BODNICKI

JAN BARANOWICZ

ŁĄKA SKOWRONKÓW

•

KATOWICE 1948

NAKŁADEM ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LITERATÓW POLSKICH
ODDZIAŁ ŚLĄSKI

Album Trzech Wieszczów

W dobiegającym ku końcowi „roku Mickiewiczowskim" warto zwrócić uwagę na mało znaną rzadkość rękopiśmienną, jaką stanowi „Album Trzech Wieszczów".

Jest to tak zwany „pamiętnik" Elizy Branickiej, w którym wpisywały się znane — czasu Wielkiej Emigracji — osobistości. Poczet wpisujących się otwiera powszechnie szanowany i czczony Julian Ursyn Niemcewicz, który wpisał się w ostatniej prawie chwili swego życia, gdyż zaledwie cztery miesiące przed śmiercią, umieszczając drżącą dłonią starczą taki napis:

Co nas otacza, wszystko jest zgubnym:
Z stratą Oyczyzny i lotność nie miła.
Prawym Polakom, wszędy grobem chlubnym,
Nędzna mogiła.

Po Niemcewiczu wpisał się Adam Mickiewicz, przytaczając z pamięci „Stepy Akermańskie", o nowym tytule S t e p y.

Drobne zmiany w sonecie wskazują na to, że wiersz był przepisywany z pamięci, co dało nam z konieczności nową redakcję, lecz po upływie szesnastu lat od chwili pierwszego napisania.

Po Mickiewiczu wpisał Juliusz Słowacki swój wiersz b e z t y t u ł u, lecz mocny w wyrazie. W wydaniach zbiorowych umieszczany jest pod mylnym tytułem „Do hr. E. K.", gdyż, jak widać, w rękopisie nie ma tytułu. — Zaczyna się od słów:

Chciałbym ażeby tu wpisane słowo
Jeśli na wieki ma słowem pozostać;
Aby słów miało nieśmiertelnych
postać
Albo posągów piękność marmurową —

Po Słowackim wpisał Zygmunt Krasiński swój wiersz, ale również bez tytułu.

Niezależnie od autografów trzech naszych wieszczów, z racji czego pamiętnik najwłaściwiej jest nazwany A l b u m e m T r z e c h W i e s z c z ó w, znajdują się w nim wiersze: A. Goreckiego, Al. Przeździeckiego, Bohdana Zaleskiego i Konstantego Gaszyńskiego.

Ze względu na to, że w naszych zabytkach rękopiśmiennych jest to bodaj-że jedyny pamiętnik, w którym szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazły się rękopisy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, warto zająć się odszukaniem go, gdyż miejsce jego przechowania jest w tej chwili nieznane, skoro zważymy, że: 1) część zabytków zarekwirowała i wywiozła żandarmeria niemiecka, na podstawie przeprowadzonej korespondencji z ramienia rządu G. G., 2) część zabytków przewieziono do zbiorów Radziwiłłów, 3) część wywieziono do muzeum w Kielcach, oraz 4) — część zdewastowaną wrzucono do stawu w Potoku.

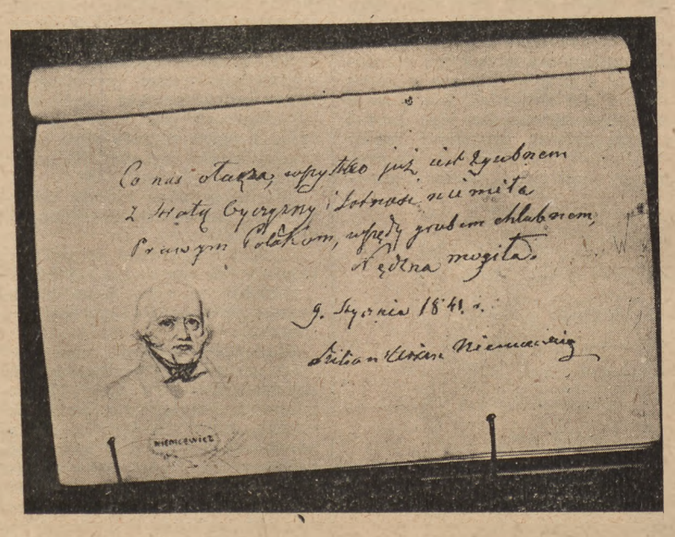

Fragment z albumu Trzech Wieszczów z podpisem Niemcewicza.

Znaki rozpoznawcze pamiętnika — uwidocznione są na fotografii: okładki twarde, imitujące skórę, tłoczone floresami złotymi i bez złota, — zaopatrzone zameczkiem mosiężnym. Wewnątrz — koszulki szafirowe, a brzegi kart — złocone. Na koszulce przedniej — naklejka firmy: Susse, papetier. Passage des Panoramas, Nr 7 et 8, à Paris. Szyfra handlowa coz 8189, pisana ołówkiem. Na okładce tylnej wytłoczono złotem: Susse, P. des Panoramas.

Album o wymiarze 17.5×11.5 zawiera 64 karty w stanie zabezpieczonym, z czego: 13 kart jest zapisanych, 51 niezapisanych, a pozostałe, jak świadczą ślady, uległy wycięciu nożyczkami.

Niechże kończący się „Rok Mickiewiczowski", a trwający jeszcze „Rok Słowackiego" zakończą się odnalezieniem bezcennej pamiątki.

Józef Mikołajtis

Waszyngtońska fontanna

(Dokończenie ze str. 1)

sja senacka pośpieszyła podać do ogólnej wiadomości, że mister Johnson jest czysty jak anioł i niewinny jak trzyletnie dziecko. W sprawie zaś stosunku Trumana do tak skompromitowanych osób, dziennik „Times Herald" pisał:

„Nikt nie może powiedzieć, że Harry Truman nie wiedział o istnieniu grupy pośredników, oszustów i łapowników, która operowała w swym biurze, mieszczącym się w Białym Domu. Niech nikt nie mówi, jakoby nie wiedział o tym, że nie tylko wykorzystywali oni jego imię, ale także i jego biuro, personel i telefon w celu wykonania swoich machinacji. Wiedział o tym choćby dlatego, że znał tych ludzi od dawna. Wogan jest jednym z jego najlepszych i najstarszych przyjaciół. Razem pracowali i bawili się w ciągu połowy życia. Maragon... także jest starym przyjacielem Trumana."

Wśród przedmiotów, w które generał Wogań zaopatrywał, w charakterze prezentów, swoich przyjaciół i protektorów, znajdowały się, jak to zostało wyjaśnione, i ostatnie modele chłodni. Zatem, według jego osobistego uznania, „za jego pośrednictwem" i jako „dowód poważania" takie podarki ofiarowane były ministrowi finansów Schneiderowi, członkowi Sądu Najwyższego, Winsonowi i sekretarzowi prezydenta Konneiemu. Trudno w danym wypadku uznać tego rodzaju prezenty za niestosowne. W rządowych bowiem kołach USA, jak to zresztą zbytecznie pokazał cały ten skandal, uczciwość jest bardzo szybko psującym się produktem.

Niestety proces politycznego i moralnego gnicia zaszedł tu tak daleko, że żadnymi „chłodniami" nie uda się go zatrzymać.

B. Rozanow.

UCIECZKA

(Dokończenie ze str. 3)

plecami w stronę ogrodu. Kelnerka postawiła przed nim szklankę moszczu.

— Nie zamawiałem nic jeszcze — rzekł.

— Wielki Boże — odparła i wzięła szklankę — czego też pan nie zamówi?

Pomyślał i rzekł:

— Szklankę moszczu.

Zaśmiali się oboje, ona zaś wsunęła mu szklankę wprost do ręki, nie stawiając jej już drugi raz na stole. Łyknął i tak mu to zasmakowało, że natychmiast wypił wszystko.

— Jeszcze raz.

— Niech pan zaczeka chwileczkę — poszła do innych gości przy najbliższym stole.

Minęło pół godziny, w ciągu tych trzydziestu minut kelnerka kilka razy zerknęła w jego stronę. Pił łapczywie, ale na błonia patrzał z niezmąconym spokojem.

Ostatni goście wynieśli się z ogrodu do salki. Niebo poczerwieniało zupełnie, lekki choć przejmujący wiatr poruszał listowie winogron na wewnętrznej ścianie muru.

Chyba zostawił mi pieniądze na stole — pomyślała kelnerka. Wyszła do ogrodu, żeby to stwierdzić, ujrzała go jednak nieruchomego jak przed chwilą.

— Czy nie przeniesie się pan do salki? — spytała.

Spojrzał na nią po raz pierwszy. Młoda kobieta w ciemnej sukience, twarz jej, zmęczona niedzielą, ożywiała się tylko na chwilę. Pierś miała mocną, szyję delikatną, wydała mu się znajomą, a nawet dość dobrą znajomą. Którą to kobietę z lat minionych przypominała mu? A może ukazywała mu jedynie któreś z jego dawniejszych życzeń i snów?

— Może pani podać spokojnie moszcz do ogrodu — odpowiedział.

Usiadł bokiem, gdyż ogród opustoszał już zupełnie. Czekał na jej powrót. Nie omylił się wcale, podobała mu się, o ile w ogóle mogło mu się coś w tej chwili podobać.

— Niech pani trochę odpocznie.

— Żebym to mogła, w salce pełno gości. — Oparła się jednak kolanem o krzesło i ramię położyła na oparciu. Skrzydełka jej kołnierza przytrzymywał maleńki krzyżyk z granatów.

— Pracuje pan w tej okolicy?

— Na statku.

— Jest pan stąd, z tej okolicy? — spojrzała nań z pewną ostrością.

— Nie, mam tu tylko krewnych.

— Mówi pan tak samo prawie jak my.

— Mężczyźni z mojej rodziny zawsze w tych stronach szukali swoich żon.

Uśmiechnęła się, ale uśmiech nie starł z jej twarzy lekkiego puchu smutku. Jerzy spojrzał na nią a ona poddała się jego spojrzeniu.

Na ulicy zatrzymał się właśnie samochód, z którego wysypał się rój SS-manów i skierował się przez ogród do salki. Ledwo zerknęła w stronę przechodzących. Spojrzenie jej dotknęło jednak ręki Jerzego, trzymającej się kurczowo oparcia krzesła.

— Co pan sobie zrobił?

— Wypadek. Niezagojone.

Uniosła jego dłoń tak szybko, że nie mógł jej cofnąć, oglądała ją dokładnie

— Musiał pan się o szkło skaleczyć, może się odnowić — odsunęła dłoń — no, muszę pójść do gości.

— Tak cennym gościom nie pozwala się czekać.

— Jesteśmy tu do tego przyzwyczajeni — wzruszyła ramionami.

— Do czego?

— Do mundurów. — Weszła do środka i gdy wchodziła, zawołał za nią:

— Jeszcze szklaneczkę proszę!

W ogrodzie panował już chłód i zmierzch. Żeby tylko wróciła tu jeszcze, myślał.

Notowała zamówienia gości i myślała przy tym tylko o jednym: Cóż to za gość ten w ogródku? Co takiego ma na sumieniu? Bo coś tam w nim jest. Obsługiwała gości z dumną wyuczoną pogodą. — Na statku chyba nie pływa dawno. Nie wygląda na kłamcę a jednak kłamie. Boi się choć nie jest bojaźliwy. Co to za historia z tą jego ręką? Zląkł się, gdy wzięłam jego dłoń, a jednak popatrzył na mnie. Gdy SS-mani przechodzili przez ogród, wykręcał sobie palce. Czyżby go z nimi coś łączyło?

W końcu napełniła i jego szklankę. Wszystko na nim było nieporządne, tylko wzrok był prawy. Wyszła, żeby się pokazać.

Siedział przy swoim stoliku na zimnym wieczorowym chłodzie i nie tknął nawet drugiej szklanki.

— Co pan teraz zrobi z trzecią?

— Nie szkodzi — odpowiedział. Postawił obie szklanki obok siebie, wziął jej rękę w dłonie, na palcu miała jedynie cieniutki pierścionek z chrabąszczem, taki sam, jakie kupuje się po odpustach.

— Bez męża? Bez narzeczonego? Bez kochanka?

Trzykrotnie zaprzeczyła głową.

— Szczęście nie dopisało? Nie udało się?

— Dlaczego? — spojrzała nań ze zdumieniem.

— Dlatego, że jest pani sama.

— Ach, o to chodzi! — poderwała się i rzekła — Tędy wyjście, proszę pana.

Odeszła pośpiesznie. Gdy była przed drzwiami, zawołał, by wróciła. Dał jej banknot do zamiany. A więc i to nie jest ważne — pomyślała. I gdy po raz czwarty wychodziła z sali do ciemnego ogrodu, z talerzykiem z wydaną resztą, żwir zgrzytał pod jej szybkimi krokami a w Jerzym zaczęło trzepotać serce.

— Macie tu w domu jakiś pokój gościnny? Nie musiałbym przechodzić na drugą stronę Menu.

— Tu w domu? Co też pan myśli. Tu mieszkają jedynie właściciele gospody.

— A tam, gdzie pani mieszka?

Odsunęła szybko swoją rękę i spojrzała nań ponuro, że spodziewał się niegrzecznej odpowiedzi. Ale po krótkim milczeniu rzekła:

— Tak. Dobrze — i dodała zaraz — Niech pan tu na mnie zaczeka. Mam jeszcze trochę do czynienia w środku. Potem pójdzie pan za mną.

Czekał na nią w ciemnym ogrodzie. Z radosnym, jakimś podnieconym lękiem mieszała się nadzieja na ostateczną udaną ucieczkę. Wreszcie wyszła z domu, zanurzona w płaszczyk, nie odwracając głowy w jego stronę. Poszedł za nią długą ulicą. Zaczęło padać. Jak ogłuszony myślał tylko jedno i to samo: Jej włosy zmokną na tym deszczu.

W parę godzin później obudził się raptownie. Nie orientował się zrazu, gdzie się znajduje.

— Obudziłam cię — rzekła — musiałam cię obudzić. Nie mogłam cię więcej słuchać. Ostatecznie moja ciotka także się może przebudzić.

— Krzyczałem?

— Jęczałeś i krzyczałeś. Śpij, uspokój się.

— Która godzina?

Nie przymknęła do tej chwili ani jednego oka. Od północy liczyła wszystkie wybijane godziny, toteż odpowiedziała szybko:

— Zaraz będzie czwarta. Śpij spokojnie. Możesz spać spokojnie. Obudzę cię.

Nie wiedziała już jednak, czy zasnął na nowo czy też tylko wypoczywał z zamkniętymi oczyma. Czekała na dreszcze, które obudziły go w pierwszym śnie. Ale nie, tym razem człowiek u jej boku oddychał spokojnie.

Jak co nocy wydał Fahrenberg również i tym razem rozkaz, by obudzono go natychmiast, skoro tylko nadejdzie meldunek w sprawie siódmego zbiega. Rozkaz jednak okazał się niepotrzebny, bo Fahrenberg nie zmrużył oka również i tej nocy. Wsłuchiwał się w każdy szmer i odgłos, mogący mieć jakikolwiek związek z wiadomością, na którą czekał tak gorliwie. I o ile poprzednie noce trwożyły go i męczyły bezmiarem przeraźliwej ciszy, ta noc poniedziałkowa nieciła trwogę i niosła męczarnie przez ustawiczne pohukiwanie we wsi, naszczekiwanie psów i okrzyki pijanych chłopów.

Ale i te odgłosy mijały powoli. Kraina pogrążyła się w twardym śnie na pograniczu północy i świtu. Nie przestając nasłuchiwać, kreślił sobie przed oczyma obraz tej krainy, jej wsi, dróg i ulic, wiążących miejscowości i trzy wielkie miasta. Badał trójkątną sieć, w której musi przecież utknąć zbieg, o ile oczywiście nie jest diabłem samym. Ostatecznie nie rozpuści się po prostu w powietrzu. Wilgotna jesienna ziemia musiała uchwycić jakieś jego ślady i ktoś musiał mu się postarać o buty, które zostawiały ślady po drodze. Czyjaś ręka musiała mu ukroić chleba i czyjaś dłoń napełnić szklankę napojem. Któryś z domów musiał mu udzielić gościny. Po raz pierwszy Fahrenberg pomyślał na trzeźwo, że Heisler może mu się wymknąć. Ale ta możliwość była przecież nie do przyjęcia. Czyż nie stwierdzono, że wyparli się go jego właśni przyjaciele, że żona jego dawno już wyszukała sobie kochanka a brat jego rodzony sam brał udział w polowaniu na zbiega? Fahrenberg nabrał oddechu; być może śmierć zbiega przekreśliła już wszystko. Pewnie rzucił się do Renu lub do Menu, jutro ciało wypłynie na brzeg. I nagle ujrzał Heislera przed sobą, takim jakim widział go po ostatnim przesłuchaniu, gdy stanął przed nim z naderwaną wargą, ale z bezczelnym, zuchwałym spojrzeniem. I Fahrenberg zrozumiał wreszcie, że nadzieja na złapanie zbiega zaczyna być coraz bardziej płonna. Trupa jego nie wyrzuci żadna fala, bo człowiek ów żyje i będzie żył. Po raz pierwszy też zrozumiał Fahrenberg, po raz pierwszy od chwili ucieczki siedmiu więźniów, że pogoń jego nie szła za jednym tylko, jedynym człowiekiem, ale że rozpuścił pogonie za potęgą bez oblicza, której sił nie da się dokładnie obliczyć. Taką myśl mógł jednak ścierpieć kilka zaledwie minut...

Musisz już iść.

Pomogła mu się ubrać i podawała mu jedną rzecz po drugiej, tak jak to czynią żony żołnierzy, gdy mija ostatnia noc urlopu. Z tobą mógłbym dzielić wszystko w moim życiu — myślał teraz Jerzy — całe moje życie, ale cóż, nie mam już żadnego życia, którym bym się mógł z tobą podzielić.

— Napij się jeszcze czegoś.

Przy wczesnym świetle świtu oglądał teraz tę, którą miał zaraz porzucić. Marzła, zimno było w izbie, o okna bił ustawiczny deszcz, pogoda zmieniła się przez noc. Wyciągnęła z szafy coś brzydkiego i ciemnego, narzuciła na siebie. Ach, nakupiłbym ci wiele — myślał dalej — wszystko co najpiękniejsze, byś chodziła w czerwieni, bieli i błękicie.

Stojąc obserwowała go, jak pił kawę. Był całkiem spokojny. Poszła przodem, otwarła drzwi i wróciła. W kuchni i na schodach trapiła się myślą, czy nie należy mu powiedzieć, że wyczuwa, że wie, co z nim jest. Ale ostatecznie po co? Zasiałaby w nim niepotrzebny tylko niepokój.

Wypłukała swoją filiżankę. Otwarły się drzwi do kuchni i pojawiła się w nich kobieta, owinięta w kapę, z siwym warkoczem na głowie. Zaczęła nieprawdopodobnie szybko sypać wyzwiskami:

— Głupia Marto, nie zobaczysz go już więcej, mogę ci na to przysiąc. Rzeczywiście, też sobie wybrałaś, powiedz no mi, zwariowałaś do reszty, przecież nie znałaś go wcale, gdy wychodziłaś po południu, a może tak, co? No jakże? Gadaj, połknęłaś język czy co?

Młoda powoli odwracała się od roboty, a blask jej oczu uderzył w starą tak mocno, że ta pochyliła się mrucząc. Młoda uśmiechnęła się spokojnie i z niejaką dumą, pogrążając się całkowicie w myślach. Oto przyszła również i jej godzina. Niestety nie miała tu żadnych świadków prócz tej starej, która drżała z bojaźni i zimna i szybko poczłapała do ciepłego łóżka.

Gdybym nie był miał płaszcza Belloniego! — myślał Jerzy, krocząc wzdłuż szyn z pochyloną do przodu głową. W twarz siekł ostry deszcz. Nareszcie ostatnie domy zostały w tyle. Deszcz zwisał z pułapu grubymi powrozami, ruchomą ścianą stał przed miastem na tamtym brzegu. A miasto to urągało w tej chwili wszelkiej rzeczywistości, wyrastając smukłe i wspaniałe na tle nieskończonego, ponurego, mrocznego nieba. Przypominało jedno z tych miast, które odnajduje się w snach i które mają trwałość snu lub nawet trwałość tej jednej tylko chwili, w której je widzimy i zapamiętujemy. Mimo to miasto na tamtym brzegu przetrzymało już dwa tysiące lat.

Jerzy znalazł się właśnie na przyczółku kastellskim. Na zawołanie wartownika pokazał swój paszport. Gdy już był na moście, stwierdził, że nawet serce nie zabiło szybciej; mógłby teraz minąć kilka takich przyczołków i to z pełnym spokojem. A więc można się i do tego przyzwyczaić. Czuł, jak serce jego opancerzyło się przeciwko bojaźni i niebezpieczeństwom a może także i przeciwko szczęściu. Zwolnił teraz nieco kroku, by ani minuty nie przyjść wcześniej na pokład. Gdy spojrzał na wodę, zobaczył holownik Wilhelminę z zielonym pasem ładunkowym, odbijającym w wodzie. Holownik stał blisko przyczółka, lecz niestety nie zaraz z brzegu, ale obok innego statku. Więcej niż spotkanie z posterunkiem na moście moguncki przerażało go teraz to przejście przez cudzy pokład. Ale lękał się niepotrzebnie. Nie dzieliło go nawet dwadzieścia kroków od przystani, gdy na pokładzie Wilhelminy ukazała się jajkowata twarz małego, pozbawionego prawie karku człowieczka, okrągła twarz człowieka, który go z pewnością oczekiwał, tłusta nalana twarz z okrągłymi dziurkami od nosa, a ukrytymi oczyma, twarz, za którą nie kryło się chyba nic dobrego, ale dlatego właśnie jak na czasy obecne właściwa fizjognomia człowieka porządnego, który niejedno ryzykował.

W poniedziałek wieczór ścięto w Westhofen siedem drzew. Wszystko potoczyło się teraz szybko. Zaczął urzędować nowy komendant, zanim jeszcze rozeszła się wieść o zmianie. W jego osobie zjawił się chyba odpowiedni człowiek dla zaprowadzenia porządku w obozie, w którym mogły zajść takie rzeczy. Nie słyszało się wcale jego ryków, mówił zwykłym głosem. Ale równocześnie czuliśmy i nie mieliśmy co do tego wątpliwości, że przy najmniejszym incydencie wystrzela nas jak kaczki. Zaraz, gdy tylko się pojawił, kazał ściąć siedem krzyży, nie należało to widocznie do jego stylu rządzenia i panowania. Fahrenberg podobno już w poniedziałek wyjechał do Moguncji. Podobno zatrzymał się tam w Fürstenberger Hof. Podobno miał tam sobie wpakować kulę w łeb. Ale to tylko plotka. Ostatecznie nie bardzo ona pasuje do Fahrenberga. Być może ktoś inny zastrzelił się owej nocy w hotelu, wskutek długów czy kłopotów miłosnych. Fahrenberg zaś — być może — zdobył gdzieś indziej większą jeszcze władzę.

O tym wszystkim nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas. Później zaś zdarzyło się tyle rzeczy, że o niczym nie można się było dowiedzieć czegoś dokładnego. Co prawda sądziliśmy, że nie da się przeżyć więcej, niż my przeżyliśmy. Ale zaraz okazało się, że wiele jeszcze można przeżyć.

Mimo to wieczorem, gdy po raz pierwszy napalono w baraku więźniów i gdy spalało się drewno, które, jak sądziliśmy, pochodzi z siedmiu ściętych krzyży — czuliśmy się bardziej zbliżeni do życia niż kiedykolwiek później a także bardziej niż wszyscy ci, którym wydawało się, że żyli.

Wartujący SA-man przestał się już dziwować ustawicznemu deszczowi. Odwrócił nagle głowę, żeby przyłapać nas na czymś niedozwolonym. Ryknął i rozdał kilka kopniaków. W dziesięć minut później leżeliśmy na swoich pryczach. W piecu gasła ostatnia iskierka ognia. Przeczuwaliśmy straszne noce, idące nam naprzeciw. Mokry chłód jesieni przenikał przez koce, przez nasze koszule, przez skórę. Czuliśmy teraz, jak głęboko i straszliwie uderzyć mogą we wnętrze człowieka moce zewnętrzne, ale wiedzieliśmy już także, że we wnętrzu naszym było coś, co nie da się zaatakować i zranić.

Anna Seghers
Autoryzowany przekład
Wilhelma Szewczyka

NOWOŚĆ!

Jan Dobraczyński
»Wybrańcy gwiazd«
wydanie II
stron 304 - zł 900,-
poleca
KSIĘGARNIA
ZDZISŁAW GUSTOWSKI
Poznań, Św. Marcin 34
do nabycia we wszystkich księgarniach
(921)

JERZY MAREK

FRAGMENT SŁUCHOWISKA

Dzieje jednego życia

STLOUKALOWA: Ludzie zwracają się do mnie często: opowiedzcie, matko, jak to dawniej było, powiedzcie nam, jakeście to dawniej żyli w tym górniczym kraju. A potem słuchają, a ja opowiadam im tak jak myśli lecą, raz z tego, raz znowu z drugiego końca. No i dziwią się potem: czy to możliwe? czy naprawdę było tak źle? Tylko starsi potakują mi, kiwają głowami i mówią: ale ta stara Stloukalka ma dobrą pamięć, to nie górnicza matka, to prawdziwy kronikarz... Ale ci młodzi, ci mi już nie wierzą. Uśmiechają się i myślą: cóż ta baba za historie wywleka, co nam tu za bajki o biedzie i nędzy opowiada? A ja sobie myślę; dobrze, moje dzieci, dobrze, że nie wierzycie. Nie wiecie nawet, jakie to szczęście dla was, że nawet już wierzyć nie musicie w to, jak to przed laty w naszym kraju bywało. Dał nam wprawdzie Pan Bóg garść węgla, ale do tego przydał dwie garście biedy. *(Bije zegar)* Patrzcie-no, czwarta, a na dworze już się ściemnia, czas szybko leci. Zawsze mi tak leci, tak to już jest. Leci jak ten zegar, com go po nieboszczce ciotce dostała, tej, co to jej drugi mąż był murarzem na kopalni. Dobry zegar, przez całe moje życie odmierzał mi czas. I już mi go chyba do końca będzie mierzył.

Co on też godzin nawybijał, dobrych godzin i złych. Tak, tak, kiedy człowiek już na wszystko wstecz patrzy, wszystko zdaje mu się wyrównane, dobre i złe, jednego i drugiego po trochu.

A najwięcej to chcą, abym im opowiadała o swoim weselu. Współczują mi i uśmiechają się, ale ja myślę sobie, że to jednak było ładne wesele. I chociaż tak się dziwnie skończyło, był to najuroczystszy dzień w moim życiu już choćby dlatego tylko, że wtedy otrzymałam to nazwisko, Stloukalowa, które noszę przez całe życie, a z tym nazwiskiem przypadł mi także i ten mój los, i wszystko, co było potem.

Na to wesele tośmy musieli sobie pożyczyć u sąsiadów wielki dzban na piwo, a ich chłopak to z noszeniem nadążyć nie mógł.

• • •

(W ostatnie słowa miesza się gwar zabawy weselnej).

GOŚĆ: No to napijmy się, abyście zawsze byli weseli. I szczęśliwi aż do końca! Haj, panno młoda, co na to powiesz?

AGNIESZKA STLOUKALOWA: Do końca... To chyba nie jest nawet możliwe. Starczyłoby, żeby chociaż od czasu do czasu...

GOŚĆ: Hej, Józef, panie młody, słyszałeś? Ty byś żony nie potrafił tak uszczęśliwić, żeby jej na całe życie starczyło? Tuzin dzieci, a szczęściu końca nie będzie!

KOBIETA: A to ci chłopisko przebrzydłe! Zamkniesz ty gębę!

GOŚĆ: Dlaczego zaraz w ten sposób? Odmłodniałem na weselu, a ty zaraz...

KOBIETA: Lepiej przypatrz się tym podarunkom ślubnym! Pokaż no je, dziewczyno. Patrzcie, co za lampa! Ładniejszej w życiu nie widziałam! A ten materiał na suknię? To od stryjka, tak? Naprawdę jak na pańskim weselu. Będziesz szczęśliwa, Agnieszko. A to... a to co znowu? Książka?... Od państwa, coś u nich służyła? Mówię wam, prawdziwie pańskie weselisko.

AGNIESZKA: „Miłostki królów". Cieszę się, że ją sobie przeczytam... Dlaczego kręcicie głową, stryju?

STRYJ: Bo myślę sobie, że nikogo z nas te miłostki królów nie powinny obchodzić. My mamy inne książki. Takie, co rozpalają krew, co porywają do walki.

JÓZEF: Wyście rebeliant, stryjku.

STRYJ: A cóż człowiekowi zostaje? Spójrz, Józefie, o... to jest książka.

AGNIESZKA: *(zdziwiona)* Taka podarta...

STRYJ: Mnóstwo ludzi miało ją w rękach. O nas w niej piszą, o robotnikach. I o drodze, którą musimy iść. Pożyczę ci ją, Józefie, ale uważaj na nią. Cesarscy żandarmi okrutnie za nią węszą.

KOBIETA: A niechże nas Bóg broni! Lepiej, Józefie, nawet tego do ręki nie bierz.

GOŚĆ: Idź do diabła! Baba jesteś nie znasz się na tym.

JÓZEF: Przeczytam ją sobie, stryjku, dlaczego nie. Ale teraz napijmy się!

GOŚĆ: Ma się rozumie! Jak wesele, to wesele!

(Dźwięki kieliszków).

AGNIESZKA: A gdzieście to stryjku, właściwie byli, że tak długo o was słychać nie było? W Niemczech na kopalni może?

STRYJ: Nie, dziecko, nie. Nie byłem ani daleko, ani blisko, byłem głęboko. Siedziałem w dziurze. A u góry było takie zakratowane okienko.

AGNIESZKA: Stryjku!

KOBIETA: W kryminale siedział! I że się to nie wstydzicie!

STRYJ: Przecie żem dla was siedział, a nie dlatego, że bym co ukradł. Żandarmi, jak mnie prowadzili, mówili, żem robotników buntował. No, jak buntował, to buntował... Ale oni się kiedyś na prawdę zbuntują — powiadam im — a wtedy to już nie będziecie mieli kogo zamykać, bo wszyscy pójdą w jednym szeregu. Stłukli mnie porządnie za to gadanie.

KOBIETA: Jezus Maria, ale też z was bezczelny człowiek!

AGNIESZKA: Ja na miejscu stryja to bym także...

STRYJ: Patrzcie, w Agnieszce nasza krew się odzywa! No, to jasne, jest przecież córką mojej nieboszczki siostry. Zapamiętaj sobie, dziewczyno: jeżeli ani ty, ani twoje dzieci nie ugniecie karku, być może, że doczekasz się końca. Bo żebyście wiedzieli, że tam w świecie jest już zupełnie inaczej. Tam robotnicy idą już razem, walczą o lepszy ustrój. Nazywa się to Międzynarodówka.

GOŚĆ: *(zdziwiony)* Takie dziwne słowo...

JÓZEF: U nas na kopalni także próbowaliśmy już walczyć.

STRYJ: Także! Ciągle musicie próbować, a nie tylko tak jakby ślepy drogę macał. Musicie iść jak żołnierze. Szturmem.

KOBIETA: Ładne mi to gadanie na weselu. Na weselu powinno się śpiewać.

GOŚĆ: Ot i macie ją całą. Jeżeli w niedzielę gotuje mięso, nigdy nie pomyśli, że we środę nie będzie co do garnka włożyć.

KOBIETA: A czy inaczej mógłby człowiek z tą całą biedą wytrzymać?

JÓZEF: Agnieszko, poślij no jeszcze po dzbanek piwa.

STRYJ: Nie, Józefie, dla mnie już nie. Pójdę już, czeka mnie jeszcze kawał drogi.

AGNIESZKA: Pożyczę siennik i pościelę wam tutaj. Gdzie byście to szli, jak nikogo nie macie.

STRYJ: Nie jest tak źle, moje dziecko, ja mam towarzyszy na całym świecie. Nie jestem ani chwili sam. A poza tym... mam tam jeszcze robotę.

KOBIETA: Jezus Maria, któraż to godzina! Ależ na weselu czas leci. Rusz no się, stary, masz przecie nocną szychtę.

JÓZEF: Wszyscy tak od razu uciekacie... To stryj zaczął.

STRYJ: Powinieneś się cieszyć Nie potoś się z Agnieszką żenił, żebyś gości do rana bawił. *(Śmiech)* No to dużo szczęścia wam życzę.

KOBIETA: I błogosławieństwa w życiu.

GOŚĆ: Myślę Józefie, że dziś będziesz miał przyjemniejszą noc niż ja.

KOBIETA: Zamknij gębę, ty bezecniku!

(Głośne pożegnanie z gośćmi, potem nagła cisza)

AGNIESZKA: Dziwna jest ta nagła cisza, Józefie, prawda? To był piękny dzień...

JÓZEF: Piękny...

AGNIESZKA: Chodź, siądziemy na chwilę, odpoczniemy trochę. Myślisz, że im placki smakowały?

JÓZEF: Na pewno... *(zakłopotany)* Ale proszę cię, gdzie jest moje stare ubranie... Ja także... ja także idę.

AGNIESZKA: Dokąd miałbyś iść?

JÓZEF: No, jakby ci tu powiedzieć... Nie chciałem mówić przy nich, bo śmialiby się ze mnie a stryj by się złościł. A i tobie nie chciałem psuć szczęśliwego wieczoru. Ale ja idę dziś na noc na kopalnię.

AGNIESZKA: Jak to, nie powiedziałeś im, że masz dzisiaj wesele?

JÓZEF: Powiedziałem. Ale co ich to obchodzi. Sztygar mi powiedział, że mam dzisiaj na dole pilną ciesielską robotę, że się tam kawał chodnika obsuwa czy coś takiego.

AGNIESZKA: Stryj jednak miał rację. Zginamy kark przed panami.

JÓZEF: Ale przecież teraz będziemy już zawsze razem, przez całe życie. Musisz zrozumieć...

AGNIESZKA: Czasem byłoby lepiej wściec się, Józefie, niż starać się rozumieć.

JÓZEF: Posłuchaj, posprzątasz, zapalisz sobie tę nową lampę, będziesz trochę czytała i tak...

AGNIESZKA: Co mi tam to wszystko, tu o co innego chodzi. To był nasz dzień, nasz najpiękniejszy dzień... No ,ale idź, przygotuję ci kawy do blaszanki.

JÓZEF: Dobre z ciebie stworzenie, Agniszko.

STLOUKALOWA: *(opowiada)* No i taką to miałam noc poślubną. Mąż pięćset metrów pod ziemią. Było mi przykro, ale też i śmiać mi się czasem z tego chciało. A potem to znów mnie wściekłość brała, że biedny człowiek nie ma nawet prawa mieć tej odrobiny czasu dla siebie, że należy do panów we dnie i w nocy... Posprzątałam po gościach, a że mi się spać nie chciało, otwarłam okno. Zbliżała się północ, było ciemno i cicho. Przewracam więc kartki i czytam sobie...

AGNIESZKA: „Miłostki królów"... „Oświetlone okna pałacu rzucały w ciemność snopy światła, a księżna Elwira przytuliła się do dzielnego hrabiego i powiedziała"...

(wycie syreny)

AGNIESZKA: Co to?

(syrena powtarza się)

AGNIESZKA: Co się stało?

(Gwar głosów, obudzone syreną kobiety otwierają okna i wybiegają przed domy. Z pomieszanego gwaru wyłaniają się słowa).

GŁOSY KOBIET: Jezus Maria! To na „Maksie"! Ale gdzież tam! Słuchajcie, to przecież na „Marii"... *(reszta powtarza z przerażeniem)*: Na „Marii"...

AGNIESZKA: *(waląc do drzwi)* Sąsiadko, sąsiadko, czy słyszycie syrenę?

SĄSIADKA: Słyszę, słyszę. Coś się na kopalni stało. Ludzie powiadają, że to ponoć na „Marii".

GŁOSY KOBIET: Chodźmy, chodźmy! Tam są nasze chłopy! *(tupot nóg, kobiety biegną w stronę kopalni).*

MĘŻCZYZNA: Stójcie, przecież im tam nie pomożecie!

KOBIETY: Chcemy ich zobaczyć!

MĘŻCZYZNA: Wracajcie!

(Tłum biegnie dalej, syrena staje się wyraźniejsza, inne kopalnie dołączają się do niej).

1. SĄSIADKA: Agnieszko, trzeba było zostać w domu.

2. SĄSIADKA: Daj jej spokój, ma tam przecież swego chłopca.

AGNIESZKA: Od dzisiaj już... męża.

(Syreny wyją głośniej, zagłuszają jej słowa).

• • •

STLOUKALOWA: *(opowiada)* Stałyśmy potem przed kopalnią, przed zamkniętą bramą i czekałyśmy. Żandarm krzyczał, żebyśmy się rozeszły, ale myśmy się nie ruszyły dopóki nie ogłosili nazwisk zasypanych i nie powiedzieli, że już powietrze do nich dochodzi. Józefa na szczęście między nimi nie było. Śmiał się potem ze mnie...

JÓZEF: Idźże, idź, robi nas tam dwustu, a ty zaraz myślisz, że właśnie ja muszę być tam, gdzie najgorzej. A i tym zasypanym też się nic nie stało. Pamiętaj, że taki alarm zdarza się tu często.

AGNIESZKA: Tak się bałam...

JÓZEF: Popatrz, już świta. We dnie wszystko przedstawia się w lepszym świetle. Dziwna to była, psiakość, ta nasza noc poślubna, prawda? *(roześmiał się)* No tak, ale nie myśl już o tym. Uśmiechnij się.

AGNIESZKA: *(przezwyciężając płacz i starając się uśmiechnąć)* Masz rację, Józefie, dziwna to była noc poślubna... *(śmiech w jej głosie w końcu zwycięża)* Stałam się górniczką wcześniej niż zostałam żoną.

(Śmieją się obydwoje).

* * *

STLOUKALOWA: *(opowiada)* I tak to już u nas było zawsze, śmiech i płacz naprzemian, pomieszane ze sobą jak w jednym worku. Biedy wycierpieliśmy sporo, ale i radość też była, bo to serce człowiecze zawsze ma tę odrobinę nadziei. I u nas było jak w innych rodzinach. Przyszły dzieci, a z nimi kłopoty. Czasem ojciec wracał do domu chmurny, a czasem znowu śpiewaliśmy wszyscy, wiecie zresztą, jak to bywa. Aż w jedną niedzielę — pamiętam jak dziś, było to na św. Annę w czternastym roku, pogoda była ładna — wybieraliśmy się na wspólną wycieczkę.

JÓZEF: No, jak tam Agnieszko, jesteś gotowa? Nie chcę, żeby towarzysze na nas czekali. Dziś będzie wielka parada, wiesz? My, górnicy pójdziemy wszyscy razem a za miastem przyłączą się do nas mandoliniści. Takiej zabawy na św. Annę jeszcześmy nie mieli.

AGNIESZKA: Wacusia możesz już wziąć, żeby mi się tu pod nogami nie plątał. Marzenkę i Kamilkę muszę jeszcze trochę umyć. A niech ci się tam chłopak znowu czymś nie usmaruje.

JÓZEF: No to, Wacuś, idziemy! *(Tupot podkutych butów, marszowy krok żołnierzy).*

AGNIESZKA: Popatrz, Kamilko, żołnierzyki idą... Popatrz... *(z niepokojem)* Co to jest, dlaczego na św. Annę żołnierze wymaszerowali z koszar?

JÓZEF: *(wpada zdyszany)* Agnieszko!

AGNIESZKA: Co się stało?

JÓZEF: Powiadają, że... że wybuchła wojna.

(Podkute kroki przybliżają się i stają się głośniejsze. Głos odczytuje urywek rozkazu o mobilizacji).

AGNIESZKA: *(krzyczy)* Józefie! Józefie!

(Podkute kroki zagłuszają daremny krzyk Agnieszki. Odgłos ich przechodzi w tykanie zegara).

* * *

AGNIESZKA: Wojna! Najjaśniejszy pan powie sobie — wojna, jak gdyby nigdy nic, ale co ja mam zrobić z trojgiem dzieci. Tych parę grajcarów zapomogi przecież nie wystarczy. Paskarze wszystko wykupują, a mąka na wagę złota. Powiedzą sobie wojna i dla nich to jest jak parada wojskowa. Ale o biedakach nikt nie pomyśli. Wojna... łatwo się mówi wojna... A mnie... umarła Kamilka.

* * *

(Dobijanie się do drzwi).

ŻANDARM: Otwierać! Rewizja!

AGNIESZKA: *(otwiera)* Rewizja? U nas? Toście się chyba pomylili. Jestem w domu sama. Sama z dziećmi.

ŻANDARM: Mąż wasz jest na wojnie?

AGNIESZKA: Tak, ale na kopalni mówili, że podobno wróci do domu. Powiadają, że górników teraz wyreklamują. Nic pan o tym nie wie?

ŻANDARM: Nie zawracajcie mi głowy i puszczajcie dalej... Czy Maciej Mara to wasz krewny?

AGNIESZKA: To przecież mój stryj. Co z nim jest?

ŻANDARM: To chyba wy najlepiej wiecie. Był u was?

AGNIESZKA: Już dawno temu. Przynajmniej z rok.

ŻANDARM: Nie zostawił tu jakichś swoich rzeczy? Książek, druków? Lepiej powiedzcie od razu zanim wam tu wszystko do góry nogami przewrócimy.

AGNIESZKA: Cóżby tu miał zostawiać?... A dlaczego go szukacie?

ŻANDARM: Dlaczego? Bo wywrotowiec, buntownik, przeciw wojnie gada.

AGNIESZKA: Jezus Maria, a któż przeciw niej na gada? To za to go chcecie zamknąć? No to zamknijcie i nas wszystkich. Wszystkie matki górników, wszystkie dzieci i chłopów naszych, co gniją po okopach. Nie wolno wam tylko jego jednego zamykać, my wszyscy mamy dosyć wojny. Tego zdychania z głodu... No, na co czekacie? Zamknijcie także i mnie!

ŻANDARM: Bądźcie cicho, kobito!

(Odgłosy rewizji).

ŻANDARM: Zabierzcie tę książkę.

AGNIESZKA: To moja książka.

ŻANDARM: To nas nic nie obchodzi. Nie przeszkadzajcie nam w czynnościach urzędowych. Nie miałbym ochoty zabierać was z sobą.

AGNIESZKA: Mój Boże, może bym chociaż jeść dostała. Przynajmniej nie stałabym całymi nocami w ogonku po kawałek kukurydzianego chleba. Dziecko mi z głodu umarło, a wy tu przychodzicie po człowieka, co przeciw wojnie gadał!

(Pukanie do drzwi).

POSŁANIEC: Mam tutaj doręczyć urzędowe pismo.

ŻANDARM: No to dawajcie i znikajcie. Co to za pismo?

POSŁANIEC: *(ściszonym głosem)* Takie, jak wszystkie te, co teraz roznoszę. Jej mąż zginął.

ŻANDARM: O psiakrew! *(głośno)* Macie szczęście, żeście ten list właśnie teraz dostali. Koniec rewizji. Odmarsz!

AGNIESZKA: *(rozdziera kopertę)* Jezus Maria!

DWA GŁOSY DZIECIĘCE Mamusiu, mamusiu...

Z czeskiego przełożył
Zdzisław Hierowski

Tydzień Katowic

1. XII. — 7. XII.

ŻYCIE LITERACKIE:

1. XII. VI Czwartek Literacki w Woj. Domu Kultury Zw. Zaw. Prelekcję o współczesnej literaturze węgierskiej z odczytaniem fragmentów prozy, wygłosiła Jolanta Leliwa.

2. XII. Zapowiedziany w Woj. Domu Kult. Zw. Zaw. wieczór dyskusyjny na temat sztuki Leona Kruczkowskiego „Odwety" nie odbył się wskutek braku publiczności.

5. XII. Wieczór Klubu Literackiego w sali Tow. Przyjaciół Nauk. O „Zagadnieniach Teatru Współczesnego" mówił Wojciech Natanson.

ŻYCIE MUZYCZNE

2. XII. Uroczysty koncert Filharmonii Śląskiej z okazji 125-lecia urodzin Bedrzicha Smetany. Jako soliści wystąpili Pola Bukietyńska oraz Lesław Finze, wykonując arie z oper Smetany: „Sprzedana narzeczona" i „Dalibor". W programie nadto odegrano 3 fragmenty z utworu „Moja Ojczyzna" 1 Vysehrad, 2. Z czeskich łąk i gajów, 3. Wełtawa. Koncertem dyrygował Marian Lewandowski.

3. XII. W sali Teatru im. St. Wyspiańskiego występ 150-osobowego, reprezentacyjnego Zespołu Pieśni i Tańca Domu Wojska Polskiego z Warszawy.

6. XII. W Woj. Wydz. Kult. i Szt. 2 zebranie komitetu organizacyjnego uroczystości jubileuszowych w związku z 50-leciem działalności artystycznej kompozytora Ludomira Różyckiego. Na posiedzeniu uchwalono program ramowy uroczystości, który zostanie przedłożony czynnikom miarodajnym w Warszawie.

6. XII. Premiera katowicka opery „Opowieści Hoffmanna" — Jakuba Offenbacha. Nowe libretto opracowali dwaj literaci Jerzy Waldorff i Ludwik Jerzy Kern. Reżyserował Romuald Cyganik, dek

Wrocławskie notatki teatralne

Niemcy i Amerykanie. — Na „Zemście" nic nowego. Dwa montaże w barszczu.

We Wrocławiu sezon teatralny w pełni!

Państwowy Teatr Dramatyczny ukazał nam już „Zemstę" w Teatrze Wielkim, montaż literacko-muzyczny „Listy Chopina", oraz Kruczkowskiego „Niemców" na Scenie Kameralnej.

Gmach Teatru Wielkiego dzieli z P.D.T. Państwowa Opera która wystąpiła dotychczas z wznowieniami „Halki", „Madame Butterfly", „Cyrulika Sewilskiego" i „Rycerskości Wieśniaczej" (w jednym wieczorze z baletem Szeligowskiego „Paw i Dziewczyna"), oraz z nową inscenizacją „Tosci".

W Teatrze Młodego Widza ujrzeliśmy „Rozmowy z Chopinem" i sztukę amerykańskiej spółki autorów A. d'Usseau i J. Gow „Głęboko sięgają korzenie".

W sali „Teatru Popularnego" Państwowy Teatr Dramatyczny przygotowuje „Starych przyjaciół" Naługna, tymczasem odbywają się tam sporadyczne koncerty i eliminacje zespołów świetlicowych. Teatr Energetyka prawdopodobnie nie będzie w tym roku wykorzytany.

Postacie ujemne „Niemców" ukazał Kruczkowski w ruchu, w czynie, — postacie dodatnie w statycznym dialogu. Dla uratowania równowagi reżyser Wrocławskiego przedstawienia *Maryna Broniewska* uwypukliła z dużą umiejętnością słowo, przytłumiając jednocześnie filmową jaskrawość akcji.

Dzięki temu postacie ujemne nie przysłoniły swą brutalnością ani rozpływającego się w mroku Petersa, ani prof. Sonnebrucha i jego córki. W tych ostatnich dwóch rolach stworzyli świetne kreacje *Józef Karbowski* i *Halina Mikołajska*. Obie postacie były głęboko ludzkie i konsekwentne. Jeszcze dotychczas stoi mi przed oczami lekko ironiczny, a zarazem pełen dziecinnej ciekawości uśmiech Ruth, z jakim szła na niechybną śmierć. Zdawało się, że patrzy na swoje przeżycia z równą ciekawością, z jaką patrzyła na śmierć wieszanych w małym miasteczku francuskim zakładników. Równie wstrząsająca *była słabość prof. Sonnenbrucha*, jego małostkowe odruchy samoobrony, a przekonywującym odrodzenie na człowieka czynu.

Peters Szczepana Baczyńskiego, przygaszony zmęczeniem, tak dobrze znanym każdemu z więźniów „Kacetów", zdobywał się na siłę rzucania haseł, o ile mu na to pozwalała publicystyka tekstu.

Rozmiar sprawozdania nie pozwala na analizę gry wszystkich wykonawców tego dobrego i wyrównanego przedstawienia na wyróżnienie zasługuje jednak z postaci drugoplanowych *Hoppe Jana Wiśniewskiego*, bardzo prawdziwy i opracowany w najdrobniejszych szczegółach.

Podobną próbę przekroju społeczeństwa w jednej rodzinie, jak to uczynił w „Niemcach" Kruczkowski, starają się przeprowadzić na gruncie amerykańskim w sztuce *„Głęboko sięgają korzenie" A. d'Usseau i J. Gow*, zajmując się kwestią rasizmu w USA.

Szlachetną intencję sztuki osłabiły koncesje, jakie zmuszeni byli zapewne zrobić autorzy dla amerykańskiej publiczności (a ściślej dla publiczności Północnych Stanów), spychając odpowiedzialność za nieludzkie traktowanie Murzynów na starsze pokolenie i na tkwiącą w arystokratycznym społeczeństwie Południowych Stanów tradycję, której źródła sięgają okresu niewolnictwa.

Mimo to szuka jest bardzo ludzka i pożyteczna i dobrze się stało, że została właśnie wystawiona przez Teatr Młodego Widza, którego widownia przeznaczona jest przede wszystkim dla młodzieży.

Reżyser Wiktor Biegański dzięki umiejętnie zastosowanym skreleniom w zakończeniu sztuki wprowadził akcent optymistyczny, pozwalający wierzyć, że jednak dzięki postawie młodego pokolenia znikną dyskryminacje rasowe i nie daleki jest dzień, gdy wszyscy ludzie spotkają się po tej samej stronie muru, rozdzielającego dotychczas w Ameryce czarnych od białych.

Biegański równocześnie wystąpił w roli senatora Langdona, dając kapitalną postać prawie patologicznego w zacietrzewieniu, żyjącego przeszłością, pełnego pychy i chytrości zacofańca.

Dzięki teatralnym walorom sztuki i reżyserii zacierającej szybkim tempem akcji wiele nierówności i naiwności tekstu i wydobywającej plastyczność postaci, oraz dobrej grze całego zespołu „Głęboko sięgają korzenie" cieszą się już od 2 miesięcy niezmiennym powodzeniem publczności wrocławskiej.

Zemsta", którą P.T.D. otworzył sezon w Teatrze Wielkim, przygotowana była z rzadką starannością: każdy gest, słowo, sytuacja, piękne dekoracje Wł. Daszewskiego, każdy szczegół peruki, kostiumu, każdy rekwizyt — przemyślane i rozpracowane współgrały z linią koncepcyjną całości.

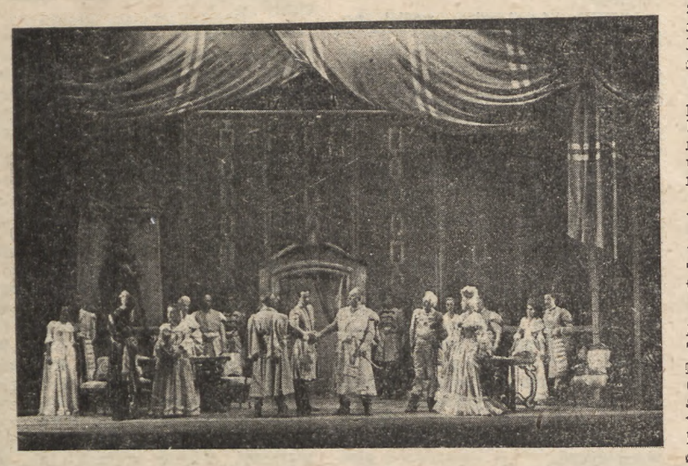

Państwowy Teatr Dramatyczny we Wrocławiu wystawił „Zemstę" Fredry w reż. Henryka Szletyńskiego, w oprawie scenograficznej Wł. Daszewskiego. Na zdjęciu finał sztuki.

Henryk Szletyński realizując „Zemstę", wydobył całe piękno fredrowskiej komedii, lekkość wiersza wartość akcji. Podkreślił wady galerii kontuszowych typów, nie pokusił się jednak o nowe spojrzenie na Fredrę, wychodząc zapewne z założenia, że (jak pisze Markowski w Kuźnicy) nie trzeba się lękać, aby pobłażliwy uśmiech, z jakim poeta traktuje nie istniejącą już dziś klasę społeczną, mógł rozbroić ideologicznie masy pracujące w walce klasowej. Zwłaszcza finał komedii, owe „budujące — kochajmy się", ugrupowany w uroczysty żywy obraz i podmalowany fanfarami nawracał do tradycyjnych realizacji „Zemsty" z okresu Stanisława Tarnowskiego.

Świetną postać rejenta Milczka stworzył *Józef Karbowski*, oszczędny w geście i mimice, wyśmienicie mówiący wiersz. Każda fraza Karbowskiego jest okrągła i pełna, głos lśni od efektów dynamicznych, modulacja barwna, interesująca. Równie pięknie mówi wiersz *Zofia Tymowska*, której Podstolina w miarę „kokocia", była finezyjna i bardzo pociągająca.

Cześnik *Stanisława Janowskiego* trochę zbyt hałaśliwy.

O koncepcję postaci Papkina w wykonaniu *Hugona Krzyskiego* możnaby się spierać. Dla mnie miał za mało wdzięku „salonowego blagiera", a za dużo bezczelności zwyczajnego kłamcy i tchórza, nie mniej linię koncepcji przeprowadził konsekwentnie i był bardzo zabawny.

Zawiedli młodzi: Wacław nie przekonywał w scenach miłosnych, był jakiś bohatersko-koturnowy i nie wykorzystał swego wrodzonego uroku, Klara była nowoczesną dość nieznośną pannicą.

Na początku sezonu, w związku z Rokiem Chopinowskim Teatr Młodego Widza i Państwowy Teatr Dramatyczny wystawiły montaże literackie z muzyką Chopina.

W „Rozmowach z Chopinem" Hordyńskiego wystawionych przez Teatr Młodego Widza muzyka Chopina panowała nad spektaklem (grała znakomita pianistka krakowska *Maria Bilińska-Riegerowa*), wiersze, zresztą nie wyborowej jakości, były tylko tłem, poddawały się nastrojowi muzyki.

Na scenie Kameralnej P.T.D., mimo że utwory Chopina wykonywał b. dobry pianista *Piotr Łoboz*, muzyka usunięta została na margines, przytłoczona ilością i sposobem podania tekstu literackiego, ułożonego poza tym bardzo interesująco i z wielkim pietyzmem przez *Karola Stromengera i Marię Wiercińską* z listów Chopina, wyjątków z „Mitu o duszy polskiej" K. Szymanowskiego, oraz z „Fortepianu Chopina" i fragmentu „Promethidiona" Norwida.

Nawiasem mówiąc nie wydaje mi się planowym i szczęśliwym pociągnięciem, aby dwa teatry wrocławskie występowały równocześnie z dwoma podobnymi w zasadzie spektaklami.

Wojciech Dzieduszycki

Kronika kulturalna Wrocławia

WROCŁAW. (gg) Na ostatnim Czwartku Literackim znany lingwista polski prof. dr Jan Wypler wygłosił ciekawy referat pt. „Jak można łatwo nauczyć się języka chińskiego".

• • •

● Do Wrocławia przybył znakomity muzyk Państwa Izrael, Fryderyk Portnoj, gdzie wystąpi on z recitalem fortepianowym. Występ tego pianisty wywołał w kołach muzycznych Wrocławia olbrzymie zainteresowanie.

• • •

● Rektor Politechniki prof. dr Smoleński wygłosił onegdaj ciekawy odczyt pt. „Energia atomowa jako materiał wybuchowy".

• • •

● W 125 rocznicę urodzin wielkiego kompozytora czeskiego, Smetany, Dolnośląskie Towarzystwo Muzyczne zorganizowało wspólnie z Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Czechosłowackim poranek muzyczny dla młodzieży szkół średnich. Poranek ten zagaił naczelnik Woj. Wydz. Kultury i Sztuki mgr. Halpon, który w krótkim referacie omówił życie i twórczość Smetany. W części artystycznej prof. Łoboz odegrał kilka tańców tego kompozytora a artyści Opery Dolnośląskiej Halska, Kozan, Zalewska, Szeptycki, Czopek, Szczurowski i Lenert zademonstrowali operomontaż z czeskiej opery narodowej kompozycji Smetany „Sprzedana Narzeczona". Z tym samym programem artyści wrocławscy w najbliższym czasie wystąpią w zakładach pracy.

• • •

● We Wrocławiu bawił ostatnio wybitny dzienikarz węgierski Gardos Miklos. Węgierski gość, który jest zastępcą naczelnego redaktora budapeszteńskiego „Vilagossag" zwiedził zabytki kulturalne oraz zakłady naukowe stolicy Dolnego Śląska. Miłemu gościowi w czasie jego pobytu we Wrocławiu towarzyszył prezes Oddziału Dolnośląskiego Związku Zaw. Dziennikarzy red. Raba.

ZIEMIA JEST WOLNA

Podczas gdy zachodnio-niemieckie wytwórnie kręcą bez ustanku coraz nudniejsze i coraz bardziej zamerykanizowane filmy komediowo-rewiowe, odrywając naród niemiecki od rzeczywistości i nie pomagające mu w niczym przy rozwiązywanu jego trudnych problemów życiowych, podczas gdy szaleją w nich ci sami gwiazdorzy i gwiazdy, których wynosił film hitlerowski — na Wschodzie Niemiec berlińska wytwórnia DEFA bierze udział w wielkiej przemianie narodu niemieckiego, dając mu filmy, których treść ideowa staje się bronią w walce o nowe Niemcy.

Młoda kobieta traci dziecko w ucieczce przed frontem. Jest sama, mąż został gdzieś na Wschodzie. Zbliża się twarda zima, do drzwi ladowa sklepowego bezsilna gnuła rozpacz. Ale oto wnieść radosna obiega wieś. Komisja parcelacyjna rozpoczęła swą pracę. Wielki majątek arystokraty pruskiego podzielony zostanie na setki pólek. Na skraju wsi uzyskuje młoda kobieta malutki domek. Pomoc sąsiedzka pozwala jej uprawić przydzieloną jej rolę. Pewnego dnia do biura dla repatriantów w urzędzie gminnym zgłasza się młody człowiek. Zmęczony podaje swoje personalia. Przybył ze Wschodu, w grupie wysiedleńców z Polski. Burmistrz czyta jego nazwisko, wreszcie wykrzykuje: „Kolego, znalazłeś swoją nową ojczyznę. Witam cię jako nowego osiedleńca w mojej gminie. Witam cię — u boku twojej rodziny!" Repatriant to mąż młodej osadniczki.

Oto treść nowego filmu DEFY „ZIEMIA JEST WOLNA". Ukazuje nam on problem dla nas najistotniejszy, bo problem zrastania się wysiedleńców niemieckich z naszych Ziem Odzyskanych z nową ojczyzną, ukazuje wysiłki władz demokratycznych niemieckich wokół związania repatriantów ze Wschodu z ich właściwą ojczyzną. I podczas gdy na Zachodzie Niemiec karmi się wysiedleńców nowymi zgubnymi nadziejami na powrót, tu — czego wyrazem m. in. jest wspomniany film — osiedla ich się, wmontowuje w społeczeństwo, czyni współgospodarzami ziemi. Takie jest zwycięstwo koncepcji demokratycznej w Niemczech.

Zdjęcia z filmu „Ziemia jest wolna" przedstawiają po kolei: sadzenie kartofli na nowej skibie przy pomocy sąsiada — wysiedleńcy i jeńcy rejestrują się w komisji parcelacyjnej — repatriant (Fritz Wagner) odnalazł po długich poszukiwaniach swoją żonę, teraz już osadniczkę (Ursula Voss). Zdjęcia DEFA - Film.

Krótkie spięcia

Małe przypomnienie

Szybko odbudowujemy się w każdej dziedzinie. Parę lat temu nawet najwięksi optymiści nie przypuszczali, że to wszystko tak składnie pójdzie, i że wszędzie w tym dziele odbudowy będą do zanotowania podobne sukcesy, jakie obserwujemy niemal codzień.

Sukcesy są też nie liche i w dziedzinie odbudowy literatury. Odbudowy przecież, jako że bądź co bądź na skutek wojny i okupacji, straciliśmy mnóstwo, niemal całość tego, co reprezentowały książki.

Odbudowa więc trwa, wychodzą w przyśpieszonym (na ogół) tempie dzieła literackie i naukowe, które zniszczyła zawierucha wojenna, które uległy spaleniu, rozgrabieniu, czy też po prostu zwyczajnemu zatraceniu.

Naturalnie, że jest to praca niesłychanie mozolna i obliczona na długie lata. Ile to przecież jest pozycji do odbudowy! Potworna ilość. No i rzecz jasna, nie wszystko zdołamy odbudować. Wszelakie celniejsze dzieła na pewno, ale jeśli chodzi o beletrystykę, to te mniej celne, te wszystkie niejako sezonowe nowości, te powieści, dramaty czy poezje, które cieszyły się krótkotrwałą sławą i które w niedługi czas po swoim ukazaniu się spoczęły w bibliotekach prywatnych czy publicznych, lub w piwnicach księgarskich, by tam stać się pastwą wojennego zniszczenia — tych się już nie odbuduje. Niestety, przekracza to po pierwsze nasze możliwości, a powtóre trudno jest przecież wydawać coś na nowo tylko ze względów po prostu archiwalnych. Każdy jednak miłośnik książek będzie musiał przyznać, iż wielka jest szkoda, że tego nie da się zrobić, bo bądź co bądź między tą zapomnianą literaturą na pewno by się odnalazła niejedna perełka, a jeśli już nie perełka, to przynajmniej obraz epoki, odbicie zamiłowań czy gustów artystycznych i innych, lub rozmaite ciekawostki, tak pożyteczne dla historyka literatury czy w ogóle badacza przeszłości.

Specjalnie zaś bolesnym musi wydać się fakt, iż zdaje się, zaginie już w ten sposób i to bez reszty, nasza tak niesłychanie ongiś bogata literatura pamiętnikarska. Klasycy naturalnie zostaną uratowani, ale ci wszyscy pomniejsi, ci wszyscy pamiętnikujący „sobie a muzom", piszący o tym, co tak pięknie się kiedyś nazywało: „silva rerum", a wydający swe dziełka gdzieś po zapomnianych już dawno dzisiaj oficynach księgarskich, względnie wydawani przez pełnych dla nich pietyzmu, spadkobierców (ale rzadko przez kogo kupowane) — ci wszyscy przepadną.

A przecież ta literatura pamiętnikarska, obojętnie czy bardziej lub mniej pośledniego gatunku, to istna kopalnia realiów. Cóż będzie bez niej znaczyło badanie takiej czy innej epoki, pisanie przeszłościowych powieści, czy w ogóle zajmowanie się tematyką dawną...?

Zresztą, gdyby nawet i takie względy nie wchodziły w rachubę, to każdy wielbiciel pamiętnikarstwa, wielbiciel realiów przeszłościowych, wielbiciel czytania o tym, jak to „illo tempore" bywało, czytania jednak nie w formie fabuły powieściowej, lecz w formie dokumentarnej, przyzna, iż będzie to dla niego wielką osobista stratą, gdy nie będzie mógł zagłębić się w jakimś prowincjonalnym „komentariuszu" sprzed stu czy więcej laty.

Czy by więc nie dało się tej ocalałej chyba już w bardzo nielicznych egzemplarzach, literatury pamiętnikarskiej, zwłaszcza z drugiej połowy XVIII i pierwszej XIX wieku jakoś syntetycznie posegregować i wydać już nie jako oddzielne książki czy książeczki, lecz po prostu jako wielkotomową całość? Oczywiście nie odrazu, ale tak stopniowo, z uwzględnieniem pierwszeństwa czy ważności wszelkich innych wydawnictw. Tomy te mogłyby na przykład nosić tytuły: „Pamiętnikarze Insurekcji Kościuszkowskiej", „Pamiętniki Doby Napoleońskiej", „Pamiętniki Wielkiej Emigracji" itd. itd.

*Zdaje się, że warto o tym pomyśleć, bo czas biegnie szybko, a libelli * habent sua fata, zaś te fata, to często zwyczajne — zniknięcie. Za parę lat, ani się obejrzymy, a możemy zacząć wspominać o naszych dawnych pamiętnikarzach, jak o Wincentym Kadłubku.*

NIEJAKI X.

SOCREALIZM

— Poezjo! Zstąp z obłoków!

Rys. Stefan Balicki

»WIELKIE ZMAGANIA«

po żydowsku we Wrocławiu

Dolnośląski Teatr Żydowski we Wrocławiu otworzył sezon wystawieniem sztuki nieznanego dotychczas w Polsce pisarza-demokraty, Francuza z Orany (Afryka Półn.) Emmanuela Robles'a. Sztuka ta, którą pt. „Der grojser nysojen" przełożył z francuskiego („Monserrat") Jakub Rotbaum — po raz pierwszy w ogóle została wystawiona w Polsce i właśnie na deskach teatru żydowskiego im. Ester Rachel Kamińskiej we Wrocławiu.

Jest to pierwszy utwór sceniczny francuskiego pisarza. Za dramat ten Emmanuel Robles (urodz. w 1914 r.) uzyskał nagrodę na francuskim konkursie młodych dramaturgów i obecnie jego dzieła wystawia wiele przodujących scen świata.

Treść sztuki osnuta jest na tle walk rewolucyjnych, które w krajach Ameryki Łacińskiej przed stu laty lud toczył pod wodzą bohaterskiego Simona Bolivara z hiszpańskim okupantem.

Jakub Rotbaum, który bezwzględnie należy do najzdolniejszych reżyserów w Polsce, dał widowisko wycyzelowane w najdrobniejszych szczegółach. W Dolnośląskim Teatrze Żydowskim panuje system gry zespołowej. Każda rola, nawet niewielki epizod mnicha, została odpowiednio uwypuklona i odtworzona na naprawdę wysokim poziomie. Stylowe wnętrze wartowni hiszpańskiej w Walencji (projektu A. Jędrzejowskiego i W. Langego) podnosi jeszcze wartość widowiska.

Po skończonym przedstawieniu udaje mi się uzyskać krótką rozmowę z kierownikiem artystycznym ob. Grundbergiem-Turkowskim, który równocześnie gra rolę bohaterskiego oficera hiszpańskiego Monserrat. Do rozmowy dołącza się reżyser Jakub Rotbaum, twórca interesującego widowiska i zarazem tłumacz sztuki Emmanuela Robles'a.

— Dlaczego w tłumaczeniu żydowskim nie został zachowany tytuł oryginału, który brzmi „Monserrat"? — pytamy reżysera Rotbauma.

— Tytuł ten nie mówiłby nic naszym widzom. Żydowska publiczność na Dolnym Śląsku nie jest jeszcze wyrobiona, toteż należy ją wychować, zachęcić do obejrzenia sztuki...

Proszę o dokładniejsze informacje, dotyczące Dolnośląskiego Teatru Żydowskiego. A więc bazą rodzimą teatru jest gmach im. Ester Rachel Kamińskiej, „matki sceny żydowskiej". Głównym jednak zadaniem teatru jest tournee po Dolnym Śląsku i dostarczenie kulturalnej rozrywki na odpowiednim poziomie mieszkańcom żydowskim w miastach i miasteczkach dolnośląskich. Publiczność prowincjonalna — mówi kierownik Turkowski — reaguje na widowiska teatralne zupełnie inaczej niż wrocławska. Tu we Wrocławiu obywatele-Żydzi mają również do dyspozycji kina i teatry polskie dlatego może traktują przedstawienia żydowskie jako uzupełnienie swych rozrywek kulturalnych. W małych miastach i miasteczkach każdy nasz przyjazd jest wielkim uroczystym świętem dla żydowskiej części społeczeństwa. Już nam sygnalizują z Dzierżoniowa, Ząbkowic, Jeleniej Góry, że „Wielkie zmagania" będą tam wydarzeniem dnia. W Wałbrzychu np. jedno przedstawienie zostało zakupione dla górników-Żydów, pracujących w miejscowych kopalniach.

— Jak wygląda finansowa strona takiego tournee po Dolnym Śląsku?

— Co tu owijać w bawełnę. Jest ciężko. W miasteczkach prowincjonalnych przeważnie musimy wynajmować sale teatralne, gdyż miejscowe żydowskie Domy Kultury rozporządzają zbyt znikomą ilością miejsc. Fakt ten powiększa koszty. Dolnośląski Teatr Żydowski otrzymuje stałą subwencję z Ministerstwa Kultury i Sztuki w wysokości 250 tys. zł miesięcznie, jak również pewne sumy z Komitetu Żydowskiego, ale niestety kwoty te są niewystarczające. Sama np. dekoracja do „Wielkich magań" pochłonęła około 180 tys. złotych. Z dniem 1 stycznia 1950 r. stosunki te ulegną poprawie, gdyż Dolnośląski Teatr Żydowski zostanie upaństwowiony.

— Jaką następną sztukę ujrzymy na deskach sceny Teatru im. Kamińskiej?

— Próby już trwają. Jest to fantazja muzyczna z tańcami pt. „Goldfranowski sen" — także w tłumaczeniu i reżyserii Jakuba Rotbauma. Folklorystyczne to przedstawienie jest próbą syntezy życia żydowskiego ostatnich lat w naświetleniu socjalnym i arystycznym. A dalszą z kolei premierą prawdopodobnie będzie przeróbka słynnej „Tragedii amerykańskiej" Teodora Dreiser'a w adaptacji reż. Rotbauma.

— Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego teatr nie nawiązał bliższego kontaktu ze społeczeństwem polskim? Jaka szkoda np., że widzowie polscy nie mogli zobaczyć takiej sztuki, jak wystawione na wiosnę „Noc Grudniową" Diamanda lub właśnie dzieła Robles'a demaskujące faszyzm hiszpański sprzed stu laty, tak zbliżony duchowo do reżimu hitlerowskiego?

— Niestety, wszelkie próby z naszej strony nie dały pożądanych rezultatów. Stosunek przedstawicieli wrocławskiego świata kultury do dorobku Dolnośląskiego Teatru Żydowskiego jest, mówiąc delikatnie, co najmniej obojętny. I tak np. zapraszani na premierę literaci i dziennikarze wrocławscy tłumaczą się nieznajomością języka żydowskiego. Wymówki te nie wydają się istotne. Program wydany w języku polskim zaznajamia widza dokładnie i obszernie z akcją każdego aktu. Nadto przemawia język teatru. Porywa i sugestionuje sama gra artystów, bez względu na to, czy słowa na scenie wymawiane są po angielsku, po francusku, po polsku czy po żydowsku.

Dziwnym się po prostu wydaje — wtrąca reżyser Rotbaum — że właśnie ci przedstawiciele wrocławskiego świata artystycznego wykazują zbyt słabe zainteresowanie dla dorobku artystycznego pewnej części społeczeństwa, które razem z nimi twarzy całość kultury narodowej. Kierownictwo Dolnośląskiego Teatru Żydowskiego ucieszyłoby się, gdyby Uniwersytet Wrocławski wystąpił z inicjatywą popularyzacji teatru żydowskiego i zorganizował dyskusje nad problemami żydowskich sztuk teatralnych. Czekamy...

H. M. HOFFMANOWA.

„Wielkie zmagania" Emmanulla Robles'a na scenie Dolnośląskiego Teatru Żydowskiego we Wrocławiu. Scena z trzeciego aktu.

Fot. Z. Mozer, Wrocław

ARKUSZ ŚLĄSKI

WIERSZE POETÓW ŚLĄSKICH

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH

KATOWICE, 3 MAJA 36a

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Tetega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73.

R-019832